№ 28. Warszawa, dnia 12 Lipca (30 Czerwca) 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

NOWA USTAWA.

Dawno już żadne nowe prawo nie sięgnęło tak głęboko w stosunki ekonomiczne kraju, jak świeżo ogłoszona ustawa stemplowa. Dotychczas obowiązywała u nas wydana w r. 1863. Według niej obligi, zastawy i pożyczki z ubezpieczeniem hypotecznem płaciły 1 od 1000; umowy o sprzedaż ruchomości i serwituty, kontrakty spółkowe, dzierżawne itd. — 2 od 1000. Ze sprzedaży nieruchomości i dzierżaw wieczystych skarb pobierał 4 od każdego 1000 rs. szacunku; z poręczeń, pożyczek itd. 2½. Przy spadkach podatek się wznosił od 1—6. W sprawach cywilnych stempel zniżał się w miarę wzrostu sumy spornej: od pierwszych 3000 rs. wynosił 1%, od sum wyższych (do 9000 rs.) ½ proc. itd.

We wszystkich tych pozycyach nowa, a raczej z Cesarstwa przeszczepiona ustawa zaprowadza olbrzymią podwyżkę. Przy spadkach i darowiznach opłata podrasta od 1—6 *na 100.* Przy przejściu własności nieruchomej wynosić ona będzie 4% wartości brutto, to jest bez strącania długów i zobowiązań hypotecznych. Do tego punktu dołączono zastrzeżenie. Jeżeli pewien majątek sprzedany zostanie za sumę niższą, niż ostatnia podana w hypotece, wtedy stempel oblicza się nie według ceny kupna obecnego, ale według najwyższej w tranzakcyach poprzednich. Gdyby wszakże od tej ceny okazał się wyższym szacunek, otrzymany z pomnożenia podatku gruntowego przez 120, to ów iloczyn ma być dla notaryusza podstawą. Minimalna cena gruntów w obrębie miast oznaczona na rs. 600 za włókę, jeżeli jest wyższą od szacunku hypotecznego.

Przy szacowaniu budowli mieszkalnych i fabrycznych ma być uwzględniane ubezpieczenie ogniowe, powiększone o 33%, jeżeli ono okaże się dla skarbu korzystniejszem. Wartość nieruchomości określają cenniki giełdy lub każdorazowo starsi zgromadzenia giełdowego.

Są to punkty główne rozwinięte w ustawie drobiazgowo a nadto dopełnione innymi, które tu pomijamy. Ponieważ urzędowe objaśnienia nadeszły niedawno a nadto praktyka żadnej jeszcze kwestyi wątpliwej nie rozwiązała (ustawa obowiązuje od 13 lipca) trudno więc dziś obliczyć wszystkie skutki zaprowadzonej zmiany. Niezawodne są tylko trzy:

1) Ponieważ nowe prawo podniosło w niektórych wypadkach opłatę stemplową *10 razy*, cały majątek zatem Królestwa Polskiego zniżył się o pewien znaczny procent.

2) Zanim stosunki handlowe i wogóle ekonomiczne nie ułożą się do nowych norm, nastąpi długoletni zastój we wszelkich tranzakcyach. Przez ostatnie dni upływającego terminu kancelarye rejentów zatłoczone są interesantami, którzy śpieszą się ze sporządzeniem aktów według dawnej stopy.

3) Tak gwałtowny przewrót wywoła niezawodnie, zwłaszcza w sferze kupieckiej, pomysłową sieć wybiegów i sposobów obejścia prawa. Pewne wzory w tym względzie wyrobiło już Cesarstwo (w systemie długoletnich dzierżaw, zastawów itd), kruczki te naturalnie przejdą do nas i pomnożą się wyrobami własnymi. Łudzić się tu niepodobna. Kuci na wszystkie nogi nasi synowie Merkurego otworzą w nowej ustawie takie furtki, których nikt się nie domyślał. Spadający bowiem ciężar jest zbyt wielkim, ażeby on nie pobudził pomysłowości do dowcipnych wynalazków. Przygniecie on tylko barki ludzi z manowcami prawnymi nieobeznanych i szukających dla swych działań bodaj kosztownej, ale pewnej trwałości. Nadewszystko odczują zmianę właściciele ziemscy, których ona wprowadza w bardzo kłopotliwe warunki.

Ale chociażby nawet z przebiegłych głów najobficiej posypały się wybiegi prawne i chociażby je sobie najszerzej przyswojono, pociecha to niewielka. Dobrodziejstwa zlewać może tylko szanowane prawo, ale nie sposoby obejścia go, które zawsze stwarzają stan gnębiącej niepewności, otwierają pole do nadużyć złym i zastawiają pułapki na nieświadomych. Cóż z tego, że jakiś pokątny doradca wydepcze ścieżkę skrytą, kiedy wymykanie się nią będzie zawsze niebezpiecznem i możliwem dla tych, którzy zręcznie po niej stąpać umieją. Ufność zapewniają i mocnego gruntu rozwojowi ekonomicznemu dostarczają tylko stosunki jawne, otwarte, rzetelne.

Zastosowanie nowej ustawy stemplowej u nas spotyka się z ogólną niepomyślnością materyalną i zastojem; zachodzi więc obawa, czy ona nie przeciąży zbytecznie wątłych sił ekonomicznych kraju tak dalece, że spodziewana przez skarb podwyżka dochodów z tego źródła zawiedzie. Dla Cesarstwa jest ona już prawem dawno wkorzenionem, u nas—staje się wstrząśnieniem tem silniejszem, że cały ustrój stosunków handlowych oparty na podstawach odmiennych.

Ale — jak rzekliśmy — dziś niepodobna ocenić rezultatów dokonanej zmiany. Wysunie je na wierzch dopiero praktyka, która jeszcze się nie rozpoczęła.

ZA SZEŚĆDZIESIĄT LAT.

W większości projektów reformy naszego życia ekonomicznego Towarzystwo Kredytowe Ziemskie stało się ogniskiem, do którego zmierzały najrozmaitsze pomysły i cele, sięgające nieraz tak daleko, jak tylko pozwalała wyobraźnia ich twórców.

Gdyby ta instytucya mogła uwzględnić owe różnorodne żądania, musiałaby stracić swój dotychczasowy charakter i z finansowej przerobić się na jakąś publiczną „sługę do wszystkiego.“ Małe gospodarstwa rodzinne obywają się taką jedną służącą, ale analogia ta nie sięga do gospodarstwa społecznego, bo na to nie pozwala różnorodność jego funkcyj, dążących do różniczkowania i wyodrębnienia. Wobec braku u nas instytucyj, w której przejawiać by się mogła działalność zbiorowa, nic dziwnego zresztą, że ta jedyna, nosząca obywatelski charakter, stała się przedmiotem tylu westchnień i pożądań. Potrzeba nauczyła nas rozszerzać ramy istniejących ustaw, powiększać stare łożyska, kiedy nowych kanałów przekopać niepodobna, i na rozrosłe barki naciągać wąski i kusy kaftan. Ale i w naturze rozciągliwość ciał ma swoje granice, musi więc je mieć i rozciągliwość ludzkich ustaw. Świeżo wydany z inicyatywy komitetu Tow. Kr. Z. *Pamiętnik* *) przedstawia nietylko dokładne sprawozdanie z sześćdziesięcioletniego blisko kresu działalności tej instytucyi, ale zarazem podając drobiazgowy przebieg starań i projektów, przez Towarzystwo popieranych, wykazuje możliwy zakres jego czynności w obecnych stosunkach. Historya owych nieurzeczywistnionych zamiarów dostarcza sporo ciekawego materyału i zarazem służyć może za wskazówkę, czego jeszcze z tej strony domagać się można i należy. Wiadomość o tem przydałaby się nietylko prasie, ale i stowarzyszonym, którzy często stawiają niepodobne do urzeczywistnienia wnioski.

Towarzystwo kredytowe ziemskie założone zostało w 1825 roku, pierwotnie na okres dwudziestoośmioletni dla spłacenia ciążących na prywatnej własności nadmiernych długów. Oprócz tego miało ono udzielić pomocy finansowej ówczesnemu rządowi Królestwa przez pożyczki na t. z. dobra narodowe. W początku zostało wsparte pożyczką skarbową i kredytem, otworzonym w Banku polskim. Ciekawym faktem jest, że już wówczas długi hypoteczne, obciążające większą własność ziemską, wynosiły 63% jej wartości. To samo powtórzyło się przy nowej pożyczce z r. 1853 i istnieje dzisiaj, pomimo wielokrotnych zapewnień *Niwy*, że własność większa gwałtownie upada i że długo taki stan rzeczy przeciągnąć się nie może. W r. 1838, 1853 i 1860 pożyczki były odnawiane, ale dopiero w 1869 r. Towarzystwo zamienione było na instytucyę stałą. Pierwotny swój cel osiągnęło w zupełności, obniżyło bowiem stopę procentową i uratowało własność ziemską od groźnego przesilenia. W ciągu swej sześćdziesięcioletniej działalności oszczędnością i umiejętną a oględną administracyą wyrobiło fundusz rezerwowy i użyteczności publicznej, z których pierwszy wynosi przeszło $5\frac{1}{2}$ miliona rubli, zyskało zaufanie dla swych listów na giełdach zagranicznych i stanęło na takim stopniu pomyślności, że dziś już śmiało kroczyć może o własnych siłach, a nawet w razie klęsk nadzwyczajnych przychodzić stowarzyszonym z pomocą i pomimo zwiększenia wydatków — zmniejszyć opłatę na administracyę. Oprócz tego własny majątek Towarzystwa, jak: domy, urządzenia biurowe itp. przedstawia wartość 712,000 rs. Słowem, we właściwym sobie, jako instytucyi kredytowej zakresie, Towarzystwo kredytowe ziemskie wywiązało się z zadania swego świetnie. Pochwała ta wszakże nie może być stosowaną bezwzględnie, bo oprócz finansowych miało ono i społeczne obowiązki, którym w wielu wypadkach zadosyćuczynić mogło bez uszczerbku dla pierwszych. Powyżej już zaznaczyliśmy, że sfera działań Towarzystwa nie mogła rozwinąć się zbyt szeroko i dodać należy, że w wielu wypadkach wzięło ono nawet na siebie inicyatywę wytworzenia nowych instytucyj, ale projektów swych nie potrafiło doprowadzić do skutku. Zapewne „niezależne przyczyny“ — jak to wykazuje *Pamiętnik* — zmazują część winy, ale nie całą, bo w usiłowaniach władz Towarzystwa nie widzimy tej energii, która kołacze dopóty, aż w odpowiedniej chwili drzwi zamknięte chociażby napół się otworzą.

Słusznie chlubić się może nasze Towarzystwo, że przetrwało szczęśliwie przesilenie, jakie spowodowała zmiana stosunków rolnych po wypadkach 1863 r. Potrzeba było sporo ostrożności i energii, żeby uniknąć, jeżeli nie katastrofy, to zachwiania jego finansowej powagi. Nic więc dziwnego, że w tym czasie ustawa Towarzystwa uległa pewnym zmianom, dającym większą rękojmię wypłatności dłużników. Ale ta surowość egzekucyjna, usprawiedliwiona w pierwszej chwili, później stała się dla stowarzyszonych ciężką plagą. Do dziś pozostaje ona prawie bez zmiany, chociaż wywołujące ją przyczyny ustąpiły. Stała się ona powodem ruiny majątkowej wielu rodzin, a liczba jej ofiar byłaby jeszcze większą, gdyby skład ówczesny dyrekcyj szczegółowych zależnymi od siebie sposobami nie łagodził nieubłaganych przepisów.

Taką jest pozytywna działalność Towarzystwa, pomimo niektórych błędów zasługująca na zupełne uznanie. Dokładny jej obraz poucza, że instytucya, oparta na wzajemności, której kierownicy w równym stopniu, jak i stowarzyszeni, zainteresowani są w pomyślnym jej rozwoju, ale osobiście na żadne większe zyski rachować nie powinni, funkcyonować może zarówno dobrze albo i lepiej, niż przedsiębiorstwa, pilnujące wyłącznie indywidualnych korzyści właścicieli lub akcyonaryuszów. Miliony zysków, jakie Towarzystwo osiądnąć może, nie zwiększą pensyi żadnego z radców nawet o sto rubli, pomimo to dobro instytucyi nie ucierpiało nawet wtedy, kiedy znalazło się w kolizyi z ich interesami stanowymi; owszem, ten brak osobistego zainteresowania utrzymał może Towarzystwo na właściwej drodze i nie pozwolił mu zboczyć na manowce spekulacyj giełdowych, dokąd podążyły inne, pokrewne instytucye — np. Towarzystwo wzajemnego kredytu.

Przejdźmy teraz do historyi daremnych usiłowań, jakie czyniło Towarzystwo Kredytowe Ziemskie chcąc rozszerzyć szczupłe ramy swych czynności dla dobra ogólnego.

Na pierwszym planie stoi kwestya owego nieszczęśliwego funduszu użyteczności publicznej, któremu bujna wyobraźnia projektowiczów nadawała i nadawać nie przestaje najrozmaitszych celów. Nie będziemy wykazywali szczegółów jego powstania, nadmienimy tylko, że już w roku 1853 przeznaczony został na pomoc przy oczynszowaniu włościan, kiedy zaś naprzód nastąpiło oczynszowanie a potem uwłaszczenie, Towarzystwo zaproponowało utworzenie banku rolniczego, na co ofiarowało kapitał, procenty zaś od niego iść miały na cele oświaty. Komitet urządzający nie przyjął jednak tego projektu i postawił za

*) *Pamiętnik Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem.*

---

2)

KARDYNAŁ

przez

Zofię Junghans.

— Słodka gołąbko moja — więc mnie nakoniec chcesz pokochać? — zawołał poczciwy Maso, przejęty i wzruszony, nie nazbyt się tem trosząc, że nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Zresztą Gelsomina wkrótce stała się taką, jak zawsze. Zwała swego wielbiciela „Orso mio,“ — „mój niedźwiadku,“ i młodzi ludzie, jak dzieci, gonić się zaczęli po obszernej sali.

Mieszkanie w którem wyrosła Gelsomina, będące jednocześnie kuchnią, sypialną i miejscem ciągłego pobytu małej rodziny warte nieco dokładniejszego opisu. Kto zna dzisiejszy klimat Florencyi, zaledwie temu uwierzy, iż galerya ze ścianą zupełnie otwartą od przodu, odgrodzona tylko na całą długość niską balustradą od frontu, służyła obu kobietom zimą i latem, we dnie i w nocy za jedyne schronienie. A jednak było tak w rzeczy samej. Przez większą część roku stara, zasuwająca się firanka wełniana osłaniała izbę od promieni słonecznych we dnie — ponieważ mieszkanie leżało na południe — i chroniła od chłodu w nocy. Podczas zimowych miesięcy babka zasłaniała przednią stronę drewnianemi tarcicami i odrzwiami, a tych na szczęście nie brakło w pustym pałacu, do którego schodziło się z przedsionka po schodach. Wówczas światło dzienne dochodziło do izby tylko przez niezbyt szeroką szparę, a i tę zasłaniano za nadejściem wieczora.

Trochę sprzętów, będących własnością rodziny i służących do jej użytku, nikło prawie w obszernym gmachu o kamiennej posadzce. Może przed laty mieściła się tu straż przyboczna możnych baronów, nakładała sobie suty ogień i grzała się przy nim swobodnie. Na olbrzymim kominie pani Orsola ze czterech cegieł ułożyła malutkie ognisko, gdzie przy garstce węgli kamiennych gotowała skromne pożywienie. W kącie u ściany stało jedyne łoże rodzinne, niezmiernie szerokie, dobrą zaopatrzone pościelą, a przy nem czystą zasłane bielizną, zdobne pokryciem koronką ubranem i świadczące o większym dostatku niż by się tego z pozoru domyślać było można.

Dodajmy do tego jeszcze odwieczną skrzynię drewnianą, w której znajdował się jedyny odświętny ubior Gelsominy i jaskrawa chustka babki, gdzie składano uprzędzoną wełnę, nim ją Gelsomina do tkacza odniosła; dalej trzy garnki kuchenne, parę zydlów i drewniany stołek starej, kądziele obu kobiet; niezbędny *scaldino*, garnek z węglami, i — najszacowniejszy ze skarbów domowych — stary obraz Madonny nad łóżkiem, z wieczną przed nim lampką jarzącą — będziemy mieli dokładny obraz mieszkania skromnej rodziny.

Młoda dziewczyna nie troszczyła się bynajmniej swem ubóstwem. Obie z babką nie doznawały przecie nigdy głodu, ażeby się miały w co ustroić na święto, o tem myślał Maso. Skąd też zawsze prawie bywała wesołą. Ileż to razy Tommaso wychodził ze swego warsztatu, znajdującego się w pobliżu domu i stawał na progu, kiedy usłyszał wesoły, dźwięczny śpiew dziewczynki, aby ją zobaczyć schodzącą ze schodów z miedzianym dzbankiem do studni po wodę, jak jeszcze dotąd chodzą kobiety i dziewczęta we Florencyi.

Dziś jednak zdawało się artyście, że Gelsomina nie tak wesoła jak zwykle. Byłby to sobie mógł wytłomaczyć z łatwością na własną korzyść, lecz zbytek szczęścia wprawiał go w zamyślenie. Przypomniał sobie o drzwiach zamkniętych.

— Czy się tu co stało szczególnego, co was przestraszyło? — zapytał Gelsominy tak nagle, że nie uszedł jego uwagi gorący rumieniec, który oblał jej śliczną twarzyczkę. Bo Gelsomina nie była to smagła, włoska piękność o czarnych, ognistych oczach. Rysy jej drobne i klasycznie piękne, przypominały Psyche; płeć miała delikatną i białą, a włosy odznaczały się najpiękniejszą toskańską barwą złocisto-płową. Przelękła się z razu, lecz wkrótce owładła sobą.

— Dzieciństwo — zawołała — zamknęłyśmy drzwi, bo... bo...

wspólną zgodą swoje wnioski co do użycia procentów, ale i te uchylił komitet do spraw Królestwa Polskiego, który rozkazał jednoroczny procent przeznaczyć na urządzenie banków wiejskich, cały fundusz zaś, wynoszący w tym czasie (1866) 1,730,000 rs. oddać do rozporządzenia rządu.

Pamiętnik stara się wykazać, że od początku swego istnienia Towarzystwo Kredytowe myślało o pożyczkach dla drobnej własności. Dopóki nie nastąpiło uwłaszczenie, zamiary te nie mogły mieć szerszego zastosowania, ale i późniejsze wysiłki Towarzystwa nie osiągnęły dodatnich rezultatów. Dzisiaj drobna własność jest dopuszczoną do udziału w kredycie, ale ją krępuje tyle ograniczeń, że udział ten nie może przyjąć szerszych rozmiarów. Bo naprzód wyłączone są wszystkie grunty, objęte ukazem z 1864 r., t. j. te, których nie wolno nabywać osobom innych stanów (z wyjątkiem mających 3 włóki rozległości), powtóre posiadać muszą hypotekę gubernialną i stanowić gospodarczą całość. Te prawne i ekonomiczne warunki są koniecznem następstwem istniejącej ustawy, ale zarazem sprawiają to, że zaledwie 360 osad posiada pożyczkę Towarzystwa, z nich zaś 117 należy do uwłaszczonych, posiadających więcej niż 90 morgów gruntu. Towarzystwo Kredytowe, czując niedostateczność tego sposobu działań, czyniło odpowiednie starania o wytworzenie pod swojem zwierzchnictwem odpowiedniej instytucyi kredytowej dla włościan. Niepodobieństwem jest streścić chociażby te projekty—ciekawych odsyłamy do samego *Pamiętnika*; dziś zresztą nie mają już one w znacznej części praktycznego znaczenia. Na bardziej szczegółową uwagę zasługuje tylko wniosek Dyrekcyi szczegółowej płockiej, przedstawiony w tym czasie, gdy Towarzystwo przesłało projekt do rozpatrzenia. Otóż Dyrekcya płocka sądzi, że jedynie możliwem jest udzielanie pożyczek na całe wsie, nie pojedynczym osobom, ale gromadom, przy solidarnej odpowiedzialności wszystkich członków. Egzekucya należności powinna należyć również do gromad a wystawienie ziemi na sprzedaż uważać jako ostateczność. Podobnież, tylko mniej jasno, wyraziła się Dyrekcya siedlecka, sądząc, że należy również zaprowadzić dla gromad hypoteki gubernialne.

Na tej drodze jedynie, zdaniem naszem, znaleźć można społecznie i finansowo rozumne rozwiązanie kwestyi kredytu dla włościan. Bo warunek ten utrudnia wywłaszczenie pojedynczych rodzin, do czego często nieopatrznie udzielony kredyt prowadzi, wyrabia poczucie solidarności gromadzkiej i przedstawia łatwość egzekucyj oraz zmniejsza koszta administracyi. Rzeczywiście zarząd instytucyi, posiadającej setki tysięcy członków, pochłaniać będzie cały prawie procent, a niewypłacalność ich narażać na konieczność sprzedaży osad. Gdy tymczasem w danym wypadku instytucya kredytowa zna tylko gromadę, która posiada własne swe środki ściągnięcia należności. Towarzystwo nie uwzględniło w swym projekcie tych uwag, to też nic dziwnego, że nie przyszedł on do skutku, bo inaczej stałby w sprzeczności z przepisami prawa, mającymi na celu unieruchomienie i utrwalenie w ręku włościan drobnej własności.

Z innych zasługuje na wzmiankę projekt Towarzystwa kredytowego dla miast, według którego Towarzystwo Kredytowe Ziemskie przyjmowało na siebie administracyę (co znacznie zmniejszyłoby koszta) i ofiarowało pomoc finansową. Kwestya ta dotychczas jeszcze nie została ostatecznie rozstrzygniętą.

Nie mniejszej również doniosłości jest projekt wzajemnego ubezpieczenia od ognia, czego niejednokrotnie domagali się stowarzyszeni. Zresztą Towarzystwo miało w tem własny swój interes, budowle bowiem stanowią dzisiaj znaczną część wartości majątków. Dążenie ziemian do zawiązywania wspólek wzajemnych ubezpieczeń wskazuje, że monopol towarzystw asekuracyjnych, zmierzający do ciągłego podwyższania składek stał się ciężarem nie do zniesienia. Projekt Towarzystwa miał tylko na uwadze większą własność i to było przyczyną jego niepowodzenia, bo rząd zauważył, że z chwilą wystąpienia obywateli z gubernialnych towarzystw wzajemnych ubezpieczeń od ognia budowli, włościanie będą musieli płacić większe składki. Możliwym jednak jest tu układ, mianowicie część wartości budynków dworskich pozostanie, jak dotąd, ubezpieczoną w towarzystwach gubernialnych, które wysokość asekuracyj ograniczają sumą 5000 rs. i starania w tym właśnie kierunku zostały na nowo przez władze Towarzystwa podjęte. Wobec wszakże zabiegów towarzystw prywatnych, posiadających silne plecy, myśl ta niełatwo doczeka się urzeczywistnienia.

Projekt pożyczek na melioracye, pomyślany niezbyt szczęśliwie z powodu trudności, jakie go czekały w wykonaniu, odroczonym został w r. 1882 na lat dwa. Obecnie zbliża się pora wznowienia go z lepszym skutkiem.

Niedokładny to i zbyt pobieżny obraz działalności Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego; szczupłość miejsca nie pozwala nam na bardziej wyczerpujące traktowanie przedmiotu. Ale i to dostatecznie poinformuje czytelnika, co zrobiła i co jeszcze zrobić może dla dobrobytu kraju w wykreślonych granicach instytucya, która dotychczas ściąga na siebie wiele nieuzasadnionych zarzutów a budzi więcej jeszcze na żadnej rozumnej racyi nieopartych pragnień i oczekiwań.

P.

W SPRAWIE ROZSZERZENIA
rynków zbytu dla naszych wyrobów.

Orel, czerwiec.

Życie ekonomiczne Zachodu dostarcza nam ustawicznie rad i wskazówek, które, zastosowane właściwie do warunków miejscowych mogą wyświadczyć prawdziwe dobrodziejstwo rozwojowi handlu i przemysłu całego dobrobytu krajowego. Mamy do zaznaczenia w tej chwili nowy przykład w sferze, która, ciesząc się opieką rządu, nie przestaje mimo to zajmować społeczeństwo. W maju Izba Handlowa paryska ogłosiła okólnik, zaopatrzony w odbitkę odnośnej ustawy i list zwrotny. Według *Revue Industrielle* treść okólnika jest następująca.

Szanowny Panie!

„Sprawozdanie ogłoszone w tych dniach przez Izbę Handlową paryską zaznacza, że, jakkolwiek niema powodu obawiać się zbytecznie o powodzenie handlu wywozowego Francyi, wszelako należy dbać o jego rozwój.

„Rozmaite niepowodzenia ekonomiczne wydobywają na jaw tę potrzebę i właśnie

---

— Bo co?

— Chciałyśmy zobaczyć, jak ty się na to skrzywisz, Orso mio.

— Okrutnico, chciałaś mnie dręczyć?

— Czyż cię za to nie wynagrodziłam?— spytała słodko. Maso pocałował ją, lecz nie uspokojony bynajmniej, badawczo spojrzał na starą. Na pomarszczonej i gniewnej zwykle twarzy pani Orsoli trudno byłoby dośledzić jakiegoś wzruszenia. Stara bywała najczęściej milczącą, a Gelsomina dowiodła dziś, że potrafi również być powściągliwą, zwłaszcza wówczas, gdy według jej przekonania, szło o spokój Tommasa.

— Nie spytałaś mnie nawet dotąd, gołąbko moja, dlaczego wczoraj u ciebie nie byłem — rzekł z wyrzutem.

— Wczoraj? Tak, prawda — Gelsomina starała stłumić w sobie lekkie zmieszanie— nie zrobiłam ci nawet wymówki dotąd, żem na ciebie czekać musiała daremnie!

— Alboż ty kiedy czekasz na mnie? czy chociażby wspomnisz gdy nie stoję przed tobą?

A tymczasem zaświeciły mu oczy, zadając kłam tym słowom, i pieszczotliwie, gładząc ją po twarzy, rzekł:

— Spójrz no tu!

Trzymał wysoko sakiewkę, przez której jedwabne oczka błyszczało złoto. Gelsomina, jak dziecko, obie rączki do niej wyciągnęła. Tommaso wypróżnił na dłoń pieniądze nadeszła i stara:

— Najświętsza Madonno! — zawołała przerażona; Maso, czyście zaczęli rozbijać po drodze?

Artysta się roześmiał.

— Nie domyślacie się wcale Orsolo, jaki sławny człowiek będzie mężem waszej wnuczki. Te wszystkie pieniądze dał mi jeden wielki pan za to tylko, żem przyrzekł zrobić dla niego arcydzieło!

— Wielki pan!

Obie kobiety zamieniły z sobą szybkie spojrzenie.

— Tak, kazał mnie wczoraj wezwać do swego pałacu. Znacie go pewnie. Jest to kardynał Riario. Chciałbym, żebyś tam była, ptaszyno moja — zwrócił się do Gelsominy, która zdawała się nie zbyt żywo zainteresowana jego opowiadaniem — i zobaczyła wszystkie prześliczne rzeczy jakie się tam znajdują. A cóż to za człowiek, ten kardynał! jaki znawca sztuki! jaki mądry i szczodry! Wiadomo, że posiada zbiór najpiękniejszych antyków. Pokazywał mi wczoraj jeden, zachwycające, nieporównane dzieło.

— Nie bardzo dobrze mówią o tym kardynale — rzekła ponuro stara. Maso roześmiał się tylko.

— Przebaczmy temu znakomitemu znawcy naszej sztuki, że nie jest obojętny na piękność kobiecą. Ładne penitentki nie użalają się pewnie na niego, że im odmawia absolucyi zupełnej.

Gelsomina usunęła się szybko z objęć narzeczonego.

— Nie powinienbyś tak się odzywać, Maso! — zawołała z mocno zarumienioną twarzyczką. Nie jesteś wielkim panem; według ciebie, wszystkiego sobie pozwolić może dostojny rozpustnik?

— Brawo! — zawołał Maso. Taką cię lubię, królowo moja. Słusznie mnie gromisz, poprawię się. A chcesz mi za to zrobić przyjemność? Pozuj przez pół godzinki, mam przyozdobić naczynie, które przyrzekłem kardynałowi, arabeskami, wśród których umieszczę główki. Twoja śliczna buzia posłuży mi do tego, moja najpiękniejsza.

Zdawało się, że to pochlebia Gelsominie, jednak nie zupełnie chętnie się zgadzała.

— Nie poznają mnie przecie? — spytała.

— A jeśliby i tak! — zawołał z dumą, a całując ją słodko, dodał: Jakąż będę miał cnotliwą żoneczkę! Nie obawiaj się jednak niczego; jest taki, który cię obronić potrafi. Znają mnie we Florencyi; jeśliby cię kto śmiał zaczepić, chociażby był kardynałem nawet, nie minie go pchnięcie szpadą w serce.

Obie kobiety zamieniły się znowu przelotnem wejrzeniem. Zdawało się nawet, że Gelsomina przyłożyła nieznacznie palec do ust, jakby dawała znak babce.

— A czy tą robotą dla kardynała zajmiesz się tu, w starej pracowni? — spytała.

— Czy by ci to było przyjemnie, gołąbko moja? — odrzekł Tommaso.

dla zaradzenia jej Izba Handlowa paryska wyraziła przekonanie, że najlepszym środkiem zaradczym jest ułatwić zakładanie domów handlowych francuskich zagranicą.

„W wielu krajach agentów francuskich niema wcale. Ci zaś, którzy się udają i są czynni oraz pracowici, zdobywają świetne stanowiska daleko prędzej, niż we własnym kraju.

„Jeżeli posiadają przymioty należne, rzadko się zdarza, żeby po przeciągu kilku lat nie otrzymali udziału, jako zainteresowani lub stowarzyszeni w przedsiębiorstwie pryncypałów, jeżeli nie zdołali założyć go na własną rękę.

„Żywioł francuski w każdym kraju będzie sprzyjał spożytkowaniu wyrobów francuskich. Nie licząc bowiem pragnienia, przyrodzonego każdemu człowiekowi, popierać handel ojczysty i powiększać wywóz wyrobów, do których jest sam przyzwyczajony — znajduje on we własnym kraju daleko większą łatwość założyć interes.

„Zresztą na tej drodze doszły do obecnych rezultatów wielkie narody, które nas otaczają i stałe powiększanie się ich wywozu zawdzięczają najwidoczniej i przeważnie temu usposobieniu, jakie widzimy u anglików, szwajcarów, niemców i włochów, mianowicie usposobieniu do podróżowania i emigracyi.

„Mając właśnie na względzie rezultaty podobne i z inicyatywy Izby Handlowej wywozowej — nader biegłej w tych rzeczach — Izba Handlowa paryska zamierza założyć Towarzystwo zachęty handlu francuskiego wywozowego.

„Izba rzeczona ma zaszczyt zwrócić uwagę Pańską na ustawę tego Towarzystwa, załączoną przy niniejszem i będzie bardzo wdzięczną za wszelkie udzielone jej uwagi i światło rady Pańskie, mając zamiar poddać je obradom na pierwszem następnem posiedzeniu ogólnem.

„Izba Handlowa paryska nie wątpi, że Sz. Pan ocenisz doniosłość tego nowego dzieła dla rozwoju naszego handlu, przemysłu i rolnictwa i przyjmie z wdzięcznością udział w stowarzyszeniu przez podpisanie się na załączonym liście zwrotnym.“

„Proszę przyjąć itd.

Prezes, *Dietz Monnin.*“

Stały kronikarz *Revue Industrielle* p. Delahaye zauważa przytem, że jednocześnie *Norddeutsche Allg. Ztg.* doradza kupcom niemieckim tworzyć stowarzyszenia eksportowe. Z tego powodu pod pióro francuza nasunęła się apostrofa do patryotyzmu francuskiego, zachęcająca do walki i zapewniająca, że najznakomitsze imiona handlowe i przemysłowe wzięły już udział w podpisach na cel tyle pożądany. Wzmiankując o tej apostrofie tak poważnego tygodnika nie możemy powstrzymać się od podkreślenia ducha jej, który cechuje społeczeństwo francuskie, ułatwia znakomicie rządowi jego działalność około rozwoju sił produkcyjnych kraju i jest godnym wszędzie do naśladowania, a szczególnie tam, gdzie społeczeństwo dźwiga daleko więcej obowiązków i nieskończenie mniej praw, niż naród, do którego p. Delahaye skierował zachętę...

Według litery ustawy nowa instytucya ma za cel powiększyć liczbę zakładów handlowych francuskich zagranicą.

W tym celu młodzieży, posiadającej odpowiednie uzdolnienie daje koszta podróży, bezpłatne bilety jazdy i zaliczki pieniężne, nadto ułatwia umieszczenie się zagranicą.

Wszystkie wydatki, łożone przez Towarzystwo, powinni mu zwrócić dłużnicy, jak tylko będą w stanie to uczynić. Posiada ono członków założycieli, którzy wnieśli jednorazowo po 1,000 lub więcej franków, członków rzeczywistych obowiązanych płacić 100 fr. rocznej składki i zwyczajnych, którzy składają po 20 fr. rocznie.

Celem tej instytucyi jest tedy rozszerzyć handel zagraniczny kosztem składek, pochodzących od ludzi zamożnych, dla których wydatek podobny jest małoznacznym, podczas gdy handel kraju może otworzyć sobie niezliczone korzyści w niedalekiej przyszłości, jak dowodzi przykład wspomnianych w okólniku narodów kolonialnych. Nie naprożno Niemcy, kierowane również polityką handlową, wzięły się do dzieła i roztoczyły opiekę w Angrze Pekwenie. Jeżeli więc podobnemu dziełu, jak Towarzystwo zachęty handlu zewnętrznego, nie można przyznać znaczenia środka radykalnego i należy mu nawet wyznaczyć miejsce mniej skuteczne, niż zakładanie kolonij i faktoryj, to znów z innej strony potrzeba w niem uznać krok bardzo charakterystyczny na polu gospodarstwa społecznego i podkreślić z naciskiem, że wychodzi on z łona społeczeństwa, niezależnie od działalności rządowej, która za pomocą polityki celnej regulowała dotychczas bieg handlu zewnętrznego, lub też wpływem swoim protegowała własnych poddanych szukających karyery handlowej zagranicą. (Np. Rosya kupców swoich w Bułgaryi).

Przejdźmy do naszych stosunków.

Jesteśmy tu pod bokiem Moskwy, w mieście czysto rosyjskiem i przypatrujemy się stosunkom handlowym nie bez myśli o potrzebach i zadaniach krajowych. Projekt Izby Handlowej paryskiej nasunął nam wiele myśli, w których znajduje się, niby środek leczniczy, niby coś łagodzącego na szkody, jakie wynikają z masowej i ustawicznej emigracyi naszej inteligencyi na Wschód do wnętrza Cesarstwa, na Ural, na Kaukaz i t. d.

Jeżeli jest nieuniknionem wychodźtwo tak znacznej ilości polaków w strony zupełnie obce, a ekonomicznie niepoczęte, to prostem następstwem dobrze pojętego interesu społeczeństwa winno być wiązanie losu i dążeń jednostek wychodzących z potrzebami społecznemi. Stosunki handlowe Królestwa z Cesarstwem nastręczają ku temu pole, którego uprawa jest poniekąd napoczętą.

Dosyć spojrzeć na handel tutejszego miasta, żeby się przekonać o możności stworzenia sobie ogromnego rynku w guberniach Cesarstwa.

Wyroby bawełniane, mieszane i wełniane, słowem towary łódzkie zapełniają najlepsze składy bławatne tutejszych kupców: taki Bachtin jedna z najdawniejszych, a razem z Podsziwałowem najbogatszych firm orłowskich nie ma innych kaszmirów oprócz łódzkich; to samo z innymi wyrobami.

Za najlepsze obuwie uchodzi warszawskie i można go dostać na drogą cenę; szkoda tylko, że pod tem imieniem ukrywa się nieraz nędzna tandeta, za co szewcy warszawscy powinni zwrócić baczną uwagę. W sklepach galanteryjnych (np. Własowa) bywały perfumeryje Warszawskiego Laboratoryum Chemicznego, lecz z żalem muszę powiedzieć, że ceny jego okazały się za wysokie i to odstręcza tutejszych kupców, jam sam się o tem przekonał. Skład aptekarski Hermuth'a i inne, sprowadzają kosmetyki Fariny z Kolonii i jakiejś firmy berlińskiej, a objaśniano mię, że są daleko tańsze niż Laboratoryum Warszawskiego. Możeby należało obniżyć ceny i rozszerzyć

Od czasu, gdy większe zaczął robić odlewy, artysta najął sobie przy bramie San Gallo obszerną pracownię i w niej ustawił piec odpowiedni. Musiał tam więc spędzać znaczną część czasu, ti jednak, w pobliżu ukochanej, w starem mieszkaniu, w Cerco degli Albizzi, najchętniej tworzyć lubił i czuł się u siebie. Tu rysował i modelował, przechowywał swoje rysunki i kosztowne szkice.

— Myślałem na ten raz wypalić swój model z gliny — objaśnił Tommaso. A że przenoszenie go z miejsca na miejsce bardzo by trudnem było, kazałem sobie już dziś tam przygotować glinę i zaraz model obrabiać zacznę.

— To cię znowu po całych dniach widzieć nie będę — żaliła się Gelsomina. Wszystkiem dla ciebie sztuka, a ja niczem.

Maso śmiał się z tej zazdrości dziewczęcia do „boskiej sztuki,“ chociaż ona może nie zupełnie bezzasadną była.

— Najprzód zrobię tu rysunki — rzekł, a ty wyglądaj tymczasem jak najczęściej, żeby mi widok twej cudnej twarzyczki dodawał natchnienia.

Przysunął ją bliżej do światła.

— Coś mi dziś trochę jesteś bladą, *anima mia.* Za mało wychodzisz. Czybyśmy się nie przeszli za bramę Santa Croce? Babka tymczasem kupi spargheti (rodzaj klusek) i przyniesie butelkę wina Chianti; za powrotem zjemy królewską wieczerzę.

Ale Gelsomina nie miała dziś ochoty iść na przechadzkę, nie chcąc się pokazywać pomiędzy ludzi w wyszarzanem ubraniu. Było ono dobre tylko na mszę, na którą dziewczyna sumiennie co rana uczęszczała do pobliskiego kościoła Panny Maryi della Campagna. Przyrzekła mu jednak, że na jutrzejszy wieczór będzie gotową i pójdzie z nim chętnie.

Nazajutrz spotkała przyjaciela w odświętnym swym stroju. Rzadko coś piękniejszego widzieć było można, nad to przystrojone, zachwycające dziewczę. Długa, jasna, lekka zasłona, przypięta do złocistego warkocza nad czołem, spadała jej na ramiona, dodając wdzięku kształtnej kibici: Maso przypatrywał się z zachwytem ukochanej, potem ostrożnie wyjął jej z uszu duże srebrne kolce, i natomiast założył parę filigranowych złotych, prześlicznej roboty, które przyniósł dla niej. Gelsomina była uszczęśliwiona.

Jak gołąb zwracała szyję w tę i ową stronę, żeby lepiej kolce błyszczały przy świetle, a Tommaso, gdy go wzywała, by się przypatrzył, jak dar jego świetnie na niej wygląda, okiem artysty podziwiał tylko jak cudnie jej główka na szyi osadzoną była.

Potem uwiesiła się u jego ramienia i wyszli razem wesoło. Skierowali się przez Borgo ku bramie della Croce; sąsiedzi witali ich ze zdumieniem, a kobiety zawistnemi wiodły za nimi oczami. Jeśliby nie tyle sobą nawzajem byli zajęci, zwróciłoby to pewnie ich uwagę, że Borgo mniej ruchliwem było niż zwykle o tej godzinie, a pojedynczy przechodnie z podbudzoną ciekawością wymijali ich i spieszyli za bramę, jakby na jakieś niezwykłe widowisko. Jeszcze nie doszli do bramy, gdy z bocznej ulicy wysypały się tłumy ludu, tak, iż niepodobna było ruszyć się dalej.

— Co to jest? — spytał Maso jednego z mieszczan, stojącego obok.

— O — rzekł zapytany, z dziwnym wyrazem — nic wielkiego. Prowadzą do więzienia czarownicę, która podobno otruła kamerdynera księcia kardynała, tego, co to miał ładną żonę.

Tommaso zwrócił, a że wstrętny pochód wszedł właśnie na Borgo i droga na bocznej uliczki była już swobodną, starał się w jedną z nich uprowadzić Gelsominę. Bo był on dobrym chrześcianinem, i czuł niezmierny wstręt do czarów, które za jego czasów ogromnie się rozwielmożniły; ale w męskiej jego piersi budziła się zawsze głęboka litość dla prześladowanych. Toż samo było w obecnej chwili, a że nic na to pomódz nie był w stanie, wolał lepiej wzrok odwrócić od tego smutnego obrazu, gdyż nie zdołałby przypatrywać się dla zabawy nieszczęśliwej staruszce, którą prawdopodobnie śmierć czekała.

W Gelsominie zaś nad obawą i wstrętem zapanowała ciekawość kobieca. Ociągała się i zatrzymywała narzeczonego. Pochód zatrzymał się właśnie na chwilę, bo delikwentka padła na kolana przed jednym

rynek zbytu nie ograniczając się Warszawą i miastami Królestwa, dla których utrzymując wysoką cenę—odstręcza się dalsze rynki. Czem się dzieje, że w Królestwie, Laboratoryum nie spotyka konkurencyi kolońskiej i berlińskiej, chcielibyśmy bardzo wiedzieć.

Sądzę, że zbyt wyrobów naszych możnaby znakomicie rozszerzyć, nie wyłączając metalicznych, pomimo że gubernia orłowska posiada ognisko przemysłowe Malcowa, dostarczające mostów, szyn, wagonów, parowozów, jak również narzędzi rolniczych. Podobno interesa Towarzystwa Malcowskiego stoją nieświetnie i płacą powszechną daninę przesileniu, jakie dotyka obecnie przemysł żelazny Cesarstwa.

Gdy się zastanawiamy nad widokami, które przedstawia rynek tutejszy dla naszych wyrobów, mimowolnie powtarzamy sobie słowa przytoczonego wyżej okólnika: *„ci, którzy się udają w te strony, są czynni i pracowici, zdobywają świetne stanowiska daleko prędzej niż we własnym kraju.“* Niezawodnie znajdzie się wielu naszych rodaków, którzy powyższe słowa — zastosować mogą żywcem do siebie.

„Żywioł francuzki w każdym kraju będzie sprzyjał spożytkowaniu wyrobów francuskich;“ zdanie to nie w całej pełni, lecz każdym razie w znacznej mierze, może być zastosowanem do nas.

Wreszcie wzmianka o skłonności do podróżowania, którą publicysta francuski widzi w anglikach, szwajcarach, niemcach i włochach, może być w całości rozciągniętą na nasz naród z tą różnicą, że jako w granicach jednego państwa zachodzący i pozbawiony kontroli paszportowej, celnej i t. d., — ruch nasz nie jest faktem tak powszechnie skonstatowanym i znanym.

Czy można doradzić w zasadzie utworzenie czegoś podobnego do „Towarzystwa“ francuzkiego u nas — nad tem mniej potrzeba się zastanawiać, niż nad samemi pytaniami. Mianowicie: jak daleco projekt podobny może być urzeczywistniony ze względu na szczupły zakres praw społeczeństwa? Na to pytanie mogłoby odpowiedzieć Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu, które, a raczej filia warszawska, która jest bezpośrednio zainteresowana w tej sprawie.

Zdaje się, że naśladowanie zaliczek młodzieży handlowej, udającej się do Cesarstwa, na początek nie jest łatwem, bo potrzeba funduszów; lecz nim się utworzy podobna instytucya, byłoby pożądanem otwieranie przez naszych krajowców biór informacyjnych i komisowych dla stałych stosunków naszych kupców i przemysłowców z rynkami Cesarstwa.

Tak się nam z razu przedstawia możność korzystania z przykładu zagranicznego, a ktoby chciał porozumieć się w tym względzie, może zechce swoje uwagi zamieścić w *Prawdzie* lub zakomunikować podpisanemu.

A. Pawłowski.

PO SKOŃCZONEJ KAMPANII.

Kraków, 7 lipca.

.. Na pobojowisku
Po całodziennem morderczem igrzysku,
Po krwawym trudzie, po stoczonej wojnie—
Tysiące ludu usnęło spokojnie.

Maraton.

Już blisko od tygodnia anioł pokoju roztoczył nad wzburzonym Krakowem swe ciche i białe ramiona i strudzeni długą walką odpoczywają zacni obywatele. wybrawszy do Rady miasta nowych dwudziestu ośmiu członków. Walka, rozgrywająca się między obozem postępowców a stańczykami, była strasznie zażarta, jakiej tu nie pamiętają. Jeszcze do dziś spotykasz po rogach ulic sążniste, różnobarwne plakaty, na rozmaite sposoby polecające wyborcom kandydatów obu stronnictw. Drukarnie, papiernie, posługacze, rozrzucający po mieście listy wyborcze, wszelkiego rodzaju zakłady gastronomiczno-alkoholiczne robiły świetne przez ten czas interesy. Każdego niemal dnia wyrastał jakiś nowy komitet, lub odbywało się zgromadzenie, na które jeżeli kandydat nie mógł albo nie chciał dla jakiegoś powodu przybyć osobiście—przysyłał beczkę piwa lub wina, co obywatele-wyborcy z jeszcze większym przyjmowali entuzyazmem. Oczywiście dekoracyjny bębenek zdawkowego patryotyzmu nieustannie wybijał sygnały—zarówno ze strony stańczyków, jak i postępowców. Patryotą najpierwszej próby kto nie chciał, zostawał — bo cóż to kosztuje?! Trzeba tylko wydrukować plakat, rozlepić go na rogach ulic — i już Polska zbawiona!

Ostatecznie na razie zwyciężyli stańczycy. Zawiodły ich tylko nadzieje co do Tadeusza Romanowicza, przy którym w pierwszych chwilach skupiała się cała akcya, jako uznanym za przywódcę partyi liberalnej w Krakowie. Znany z energii, żelaznej pracy i niezawisłości zdania butny poseł lwowski i redaktor naczelny *Nowej Reformy* nie mógł być w żaden sposób sympatyczny stańczykom i pokrewnym im duchom, Dokładali też wszelkich starań, aby runął, przez co spodziewali się zachwiać byt redagowanego przezeń dziennika. Agitacyę rozwinięto nadzwyczaj silną, działano na różne sposoby, nie gardząc ani potwarzą, ani wstrętnemi malwersacyami i nie żałując pieniędzy. W robocie tej wzięły udział nawet najwyższe sfery naukowe, które bardzo niemile skompromitowane zostały przez dra Mieczysława Bochenka, profesora nadzwyczajnego na uniwersytecie Jagiellońskim. Kierował on mianowicie zdzieraniem plakatów przeciwnego stronnictwa, co całkiem nie odpowiada ani godności obywatelskiej, ani też powadze jego stanowiska. Gdy przychwycono posługacza na zdzieraniu afiszów (§ 468 u. k.) tłomaczył się, że mu to polecił czynić „jakiś porządny pan.“ Tym „porządnym panem“ okazał się następnie „pan niski a gruby, co to jest ich dwu braci“ — p. Mieczysław Bochenek. Profesor uniwersytetu, dowodzący uliczną burdą! Gdyby na czemś podobnem złapano postępowca, *Czas* nazwałby go z pewnością „pauprem“ — może i słusznie: bo ulicę pozostawić należy... ulicy.

Pomimo tych wszystkich machinacyj, Romanowicz wyszedł z urny wyborczej, otrzymawszy na 65 głosujących 37 głosów. Jeśli zważymy, iż do Rady wszedł także redaktor *Nowej Reformy* i jej wydawca dr. Adam Asnyk, otrzymawszy na 815 głosujących 413 głosów, musimy przyjść do przekonania, że dziennik ten, będący wyrazem partyi postępowej w Krakowie, znalazł grunt, ma rzeczywiście po za sobą ludzi i już tworzy pewne stronnictwo. Nabiera to tem większego znaczenia, że wspomniani kandydaci stawali w kołach, w których na zdobycie głosu nie tak łatwo jak w innych wpływać mogą znane środki

---

z małych posągów świętych, umieszczanych na ulicy. Lud biegnący tłumem, który się zachowywał dość spokojnie i więcej ze zdumieniem niż nienawiścią zdawał się patrzeć na czarownicę, cofnął się nieco w tył, i nagle w tłumie ozwał się głos donośny:

— Panie Boże! wszak to kuma Batta z San Firenze!

Wszyscy spojrzeli w stronę, skąd słowa te słyszeć się dały. Wyrzekła je Gelsomina. Na piękną, jasno włosą, z białą twarzyczką dziewczynę, w odświętnym jaskrawym stroju, zbiegły się wszystkie oczy, a ona z przerażenia wzroku jeszcze od starej oderwać nie mogła.

Czarownicę, z rękami w tył związanemi, prowadził na sznurku drabant arcybiskupa. Stara podniosła się z trudnością i powlokła dalej; rozpacz bez nadziei malowała się na jej pomarszczonej twarzy i woczach przygasłych. W tem jej spojrzenie padło na młodą dziewczynę, i zatrzymało się na niej zapewnie bezwiednie. Szklanne te oczy, udręczenia pełne, miały w sobie coś przerażającego: Maso uczuł, jak dreszcz wstrząsnął całem ciałem Gelsominy, przytulił ją do siebie i objął lewem ramieniem, jakby ją chciał chronić od złego, i tak uprowadził, gdy tymczasem ozwało się za nimi parę głosów, nienawiść i pogardę wyrażających. Złote ozdoby, młodość i piękność dziewczyny, wobec smutnej, złamanej postaci starej grzesznicy, dostateczną już były pobudką, do wywołania złośliwych uczuć w tłumie.

Skoro zdołali ujść w ustronne miejsce, Gelsomina gwałtownie napierać się zaczęła do domu. Lękała się, sama nie wiedząc czego, a wszystkie przedstawienia i uspokojenia Masa były bez skutku. Przez dni kilka pozostawała w ciągłem ukryciu; próżno Maso ze swej pracowni wysłuchiwał się, czy nie usłyszy dźwięcznego jej głosu; zaledwie tylko parę razy w ciągu dnia, wśród zakurzonych liści i doniczek z roślinami, dojrzał jej twarzyczkę z niewesołym uśmiechem. Zabrał nakoniec swój przyrząd rysunkowy, i przyszedł do mieszkania kobiet; ustawił sobie drewnianą okiennicę w miejsce stołu, i zaczął pracować. Tam powstał rysunek wspaniałego, srebrnego puharu, który do dziś jeszcze budzi podziwienie i zachwyt znawców.

Kiedy rysunek był wykończony, udał się Maso, ze służącym, które niósł szkice, do pałacu Riario.

Kardynał znajdował się w pokoju z tajemnem wyjściem, w którym widzieliśmy go po raz pierwszy. Chodził szybko w tę i ową stronę; u drzwi stał jego zaufany sługa Piero.

Jego eminencya był widocznie w stanie nadzwyczajnego rozdrażnienia.

— Czemu się sam tem nie zająłeś, Piero? — zapytał. Ten osioł Giannozzo tak się zdał do podobnych zleceń, jak drąg do wykluwania zębów.

— Jaśnie wielmożny panie, nazbyt dobrze jestem znany jako sługa waszej eminencyi — odrzekł Piero. Giannozzo wszystko urządził, co się tylko zrobić dało. Przyniósł nam wiadomość, że dziewczyna nie opuszcza prawie mieszkania, że nawet rano na mszę nie chodzi.

— Mała kacerka! — uśmiechnął się kardynał.

— Żeby to jaśnie wielmożny pan, przy spotkaniu z panną, sam się był lepiej brał do rzeczy — dorzucił Piero.

Riario spojrzał ostro w oczy staremu hultajowi, który bez mrugnięcia wzrok pana wytrzymał.

— Za takie zuchwalstwo wartoby ci dobrze natrzeć uszu, mój przyjacielu—rzekł. Wiesz dobrze, że cnotliwe dziewczę dało zupełną odprawę kawalerowi, który jąniedawno zaczepił na ulicy jedwabnemi słowy. Przebaczyliśmy jej to chętnie; jeszcze nam się przez to bardziej podobała. Wiemy bez ciebie, stary lisie, żeśmy nie tak młodzi, jak przed dwudziestu laty, i że nasze zalecanki do młodych kobiet innego potrzebują poparcia, nietylko naszych słodkich spojrzeń.

Po tych słowach zrobił znak ręką, jakby liczył pieniądze.

— A i to jeszcze wielkiej ulega wątpliwości — mówił dalej, czy prześliczna rybka na taką nawet da się pojmać przynętę.

(D. c. n).

i środeczki agitacyjne, a mianowicie dr. Asnyk stawał w kole inteligencyi—Romanowicz w wielkim przemyśle. Nie zapominajmy przytem, że stańczycy tylko nadzwyczajnym wysiłkiem i otwartą niegodziwością zdołali się utrzymać przy wyborach, a obóz przeciwny zdobył tak znaczną liczbę głosów, że w wielu razach brakowało mu zaledwie po kilkanaście do zupełnego zwycięstwa.

Dlaczegoż jednak inaczej się stało? Dlaczego z kandydatów ściśle własnych przeprowadzono tylko czterech? Pierwszą przyczyną porażki było to, że do przewodnictwa w wyborach dopuszczono sfery stańczykowskie. Gdyby opozycya utrzymała się przy komitecie centralnym, stawiającym kandydatów, nie minęłoby to bez znacznego wpływu. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że na masy każda zazwyczaj władza, obwołująca się krzykliwie, jedynie legalną drogą oddziaływa silnie. Jej kandydaci zwyciężają najczęściej już to przez zaślepienie wyborców, już też skutkiem obojętności dla dobra publicznego i przez ogólną apatyę. Niejeden rzemieślnik, od świtu do nocy zapracowany w warsztacie, gdy przyjdą wybory, albo wcale nie staje przy urnie, albo w nieświadomości rzeczywistego stanu rzeczy głosuje za listą niepożądaną. Cóż dopiero, gdy wielebni ojcowie zaczną wywierać nacisk, opowiadając o przeciwnej partyi niestworzone dziwy, a jednocześnie powstaną straszliwe wrzaski i odsądzania od czci i wiary ludzi, którzy stawiają kandydatury z po za komitetu centralnego. Przy obecnych wyborach posunięto się w insynuacyach tak daleko, iż przeciwnikom nie zawahano się pismem publicznem zarzucić, że dlatego chcą wejść do Rady, aby okradać miasto lub mieć możność patrzenia przez palce na okradanie.

Ważniejszą jeszcze przyczyną porażki było niezupełnie szczęśliwe ułożenie list kandydackich. Oprócz ludzi, którzy zawsze mogą liczyć na uznanie szerszych kół, pojawili się albo mało znani a jeszcze mniej poważni, ulbo też niemający w mieście sympatyi. Tymczasem, jeżeli gdzie, to w Krakowie trzeba się bardzo rachować z czemś podobnem. Nasza t. z. partya liberalna, będąca luźnem stadem owiec i niesfornych żywiołów, nie ma żadnej karności, ani też dotąd nie zdołała pojąć, że przy wyborach, gdzie idzie o zwycięstwo stronnictwa, jednostki nie powinny wchodzić w rachubę. Głosuje się solidarnie, mając na oku zwycięstwo całej partyi. Tak postępują stańczycy, dojrzalsi i rozumniejsi szermierze, koterya dziś nieliczna a jeszcze silna tem właśnie, że karna. A u nas? Eh, co głowa, to rozum, co człowiek, to stronnictwo. Wzajemne swary i podstawianie sobie nóg, wzajemne nienawiści, oddziaływające demoralizująco na szersze masy, sympatye i antypatye, gdy chodzi o cele ogólniejsze—oto, niestety, nasze przymioty.

Jest to partya? Nie powiedziałbym. Stronnictwo postępowe, mające przed sobą jakieś punkty wytyczne i jakiś regulamin — dopiero się tworzyć u nas zaczyna. Dotąd mieliśmy tylko krzykliwą garstkę chodzących samopas pseudo - liberałów. To był sztab generalny, a armię składało bezmyślne stado, które mogłeś albo hurtem kupić lub otumanić, albo też dokonać tego częściowo. Że zaś nam brak zazwyczaj znajomości natury ludzkiej i prowadzenia walki — wszystko to szło najczęściej na rzeź stańczyków. Stańczyk uśmiechem życzliwym, ukłonem, pieniędzmi lub wódką, a ksiądz modlitwą, obrazkiem swiętym, opowieścią o piekle i strasznej karze, oczekującej tam każdego „massona“ i każdego, ktoby im sprzyjał — dokonywali operacyi.

Smutna ta armia jeszcze do dziś pozostała prawie taką samą, jak była, a s… przy obecnych wyborach gorszące w… ły sceny. Nigdy nie zapomnę wstrę… widoku, jaki podczas wyborów z mnie… własności ujrzałem na Kleparzu. Duszna i ciemna izba, przepełniona kłębami tytuniowego dymu i wyziewami alkoholu. Na podłodze porozrzucane niedopałki cygar, papierosów i niedojedzone kęsy chleba i kiełbasy — owdzie rozbita butelka lub rozgnieciony kieliszek. W izbie tłum ludzi. Wszystko to je, pije i wrzeszczy. Przy stole zasiadły śród gwaru i strasznego zaduchu dwie znane w mieście naszem osobistości, należące do sfer inteligencyi. To kandydaci. Każdy, kto wchodzi, zapoznaje się najpierw z flaszką, następnie składa na stole kartę wyborczą, a czcigodni kandydaci wypełniają ją bezczelnie swemi nazwiskami. Zgiełk i wrzawa nie ustają. W pośrodku izby pleczysty i spasiony jak wieprz karmny, obywatel-wyborca, woła nieustannie tubalnym głosem: „Narodzie! Obywatele! Kto nie pije, ten nie nasz, ten nas pewnie zdradzi!“ Oczywiście obywatele leją w siebie, jak w beczkę. Jest to niezawodny środek na uczciwe i niewymuszone głosowanie. W całym tym wrzaskliwym i zapitym tłumie kręcą się tu i owdzie także żydzi — agitatorowie. Gdy już pewna część zebranych ma wypełnione karty, a raczej gdy już nie wiele wie o świecie, zabierają ich i prowadzą na ratusz — do głosowania.

Wobec tak niekorzystnych stosunków, gdy z jednej strony staje obóz wyćwiczony dostatecznie, energiczny, konsekwentny w działaniu i zuchwały aż do ostatnich granic, a z drugiej garstka ludzi trzymająca się wprawdzie za ręce, ale słaba, lękliwa i niedoświadczona, niemogąca liczyć ani na bezwiedne masy, do których łatwiej trafi ksiądz i finansista, ani na owych chodzących samopas pseudo-liberałów — wobec tego, powtarzam, wybory nie mogły wypaść inaczej.

Jeżeli jednak zważymy, że stańczycy, wspierani przez wszystkie władze rządowe, instytucye finansowe i potężne u nas duchowieństwo, dopiero po zażartej walce i przez góry niegodziwości dotarli zwycięsko do urny wyborczej, chociaż nie owładnęli nią zupełnie—przyjdziemy do pocieszającego wniosku, że wpływ ich znacznie osłabł, a nadewszystko, że miasto poczyna się budzić z długoletniej apatyi, czego dowodem bezprzykładnie zacięty bój i ogólne poruszenie umysłów *).

Oby to tylko nie był fałszywy a raczej chwilowy objaw. Wielu tak przypuszcza—niestety!

Prawdzic.

*) My sądzimy, że Kraków pozostanie długo jeszcze … twem stańczyka — mimo drobnych wahań opi… …ł.

NAJNOWSZE DZIEŁO RENANA.

Są autorowie uprzywilejowani, których utwory budzą ciekawość ogólną, skoro wiadomość o nich zabrzmi śród publiczności. Należy do nich Ernest Renan. Dzieło jego ostatnie z druku jeszcze nie było wyszło, już o niem pisano. Nie przyznaję się do grzechu ciekawości zbytecznej, gdym atoli wyczytał oznajmienie tytułu: „Nowe studya z historyi religii“ (*Nouvelles études d'Histoire religieuse*), uspokoić się nie mogłem, aż książkę tę grubą przeczytałem.

Nie jest to książka zupełnie nowa. Składa się z dłuższych i krótszych opracowań, z których część większa, bądź w postaci studyów samodzielnych, bądź też jako analiza krytyczna dzieł autorów innych, drukowaną była w *Revue des deux mondes*, w *Journal des Débats* i w innych pismach. Opracowania poprzedza wstęp, sam przez się bardzo zajmujący. Rzeknę o nim słówko przy końcu; postaram się przedtem zaznajomić czytelnika z treścią dzieła.

Na początku samym spotykamy artykuł p. t. „Metoda doświadczalna w religii.“ Autor twierdzi, że do badania religii najlepiej nadaje się Wschód, a to nietylko dlatego, że religie wszelki początek swój tam wzięły, ale że i w chwili obecnej nigdzie się z równą nie tworzą łatwością, jak w tych krajach osłonecznionych. Renanowi pers powien, przyjaciel jego, opowiadał, że o mało nie został, mimo woli a nawet wiedzy swojej, założycielem nowej religii. Wygłosił hasło rewolucyjne francuskie: wolność, równość, braterstwo. Hasło to rozeszło się, przyjęło i zaczynano już persowi przypisywać tworzenie cudów, wywoływanych jakoby potęgą mistyczną wyrazów, których się we Francyi nauczył. Do wytworzenia, w Arabii np., religii nowej, dosyć by było — zdaniem Renana — na górze jakiej fajerwerk urządzić i 50.000,000 fr. do rozporządzenia mieć. Azya posiada entuzyazm, dochodzący do ofiarności męczeństwa, który w Europie istniał kiedyś, ale zgasł, gdy religia uciekła z rozumu i schroniła się do serca. Renan uważa to za wypadek bardzo pomyślny, a to dla tej przyczyny, że „rozum dzieli, serce łączy.“ Paradoks.

Następują dalej artykuły: „Poganizm“ i „Mitologia porównawcza,“ poprzedzające rzecz obszerną o „buddyzmie“ rozprawę, która przez lat dwadzieścia siedem w tece leżała. Historya jej taka. Była to praca najpierwsza, którą Renan przeglądowi *Revue des deux mondes* ofiarował. Wydawca nie przyjął jej. „P. Buloz — powiada autor — najmniej buddysta śród ludzi, chwalił dodatki niektóre, w gruncie atoli wierzyć nie chciał, ażeby to prawdą było. Na wszelkie dowody moje odpowiadał niestosownie: „Niepodobna, ażeby ludzie byli tacy głupi.“ Nie dziw, że p. Buloz tak się wydawać mógł, wiadomości bowiem o istocie religii tej poczęły były dopiero przenikać i szerzyć się. Powszechnie trzymano się jeszcze bajek, przyniesionych przez Marka Pola i księdza Horacego della Penna. Wiadomości prawdziwe gromadzić zaczął w .. 1821 p. Brian Houghton Hodgson, rezydent angielski przy dworze nepalskim. We Francyi zajął się kwestyą tą Eugeniusz Burnuf. Prace tego ostatniego, jakoteż badania p. Foucaux były wskazówkami, których się Renan pierwotnie trzymał. Artykuł nic na tem nie stracił, że tak długo w tece spoczywał. Autor go uzupełnił i rozszerzył tak, że przedstawia obecnie treściwy, ale dokładny wykład religii, która jest sama w sobie zjawiskiem dziwnem i oryginalnem. Teorya to nihilizmu bezwzględnego. „Doktryna—słowa Renana—wyznaczająca życiu za cel najwyższy nicość, albo raczej raj, w którym człowiek znajdzie się w stanie trupa wyschłego; doktryna, głosząca, że szczytem doskonałości jest unicestwianie się kolejne, w której człowiek występuje jako najdoskonalszy wyraz stworzenia a idea istoty najwyższej ukazuje się dopiero w epoce późnej, doktryna taka jest zjawiskiem tak nadzwyczajnem, że umysł nasz z wielkim tylko trudem dopuszcza jej możliwość.“ Treść ewangeliczna buddyzmu przedstawia się tak: „Miłość, poświęcenie, ofiarność żadnej nie posiadają rzeczywistości; czyny, dobre czy złe, nie prowadzą do rezultatu żadnego; świat ten nie istnieje; przyszły nie istnieje także; nie ma istoty, którąby była wytworem narodzin nadzwyczajnych. Gdy człowiek, ów czterech żywiołów składnik, pory swojej doszedł, ziemia powraca do ziemi, woda do wody, ogień do ognia, wiatr do wiatru; organy zmysłów unoszą się w eter; czterech ludzi w trumnie, co czyni pięć, odnoszą nieboszczyka, gdzie nakazanem jest palenie ciał; kości bieleją, dobre uczynki w płomieniach giną. Ci, co utrzymują, że coś istnieje, głupcy i mędrcy, rozkładają się i znicestwiają po śmierci.“ Jest to wyjątek z *Samanna phala sutta*, czyli „Lotus dobrej wiary.“ Materyalizm, sceptycyzm, ateizm—oto buddyzm, religia osobliwa z tego powodu, że nie ma w niej bo-

ga, że próżnia jest wyrazem jej głównym. Mądrość najwyższą stanowi zrozumienie próżni, stąd też rozmyślanie jest celem życia. Nie dziw, że religia ta, taka oryginalna, zyskiwać zaczyna wyznawców w Europie. Wątpić nie można, że praca Renana wyznawców jej przysporzy, pomimo że autor sam buddystą nie jest i prozelityzmu na celu nie ma.

Po buddyzmie idzie opracowań kilka, z których jedno jest studyum „O tłomaczeniach Biblii," drugie rozbiorem pracy Aleksandra Chodźki p. t. „Teatr perski, wybór Téazié'ów, czyli dramatów" (Paryż 1878). Są to dramaty religijne, rodzaj misteryów, osnutych na śmierci tragicznej Alego i dwu jego synów: Hassana i Husseina, których losy w szyityzmie odgrywują rolę podobną do roli męki Chrystusa w chrześcianizmie. Po tem następuje ciekawy bardzo artykuł o apokaliptykach wieków średnich, a mianowicie o „Joachimie de Flor i Ewangelii wiecznej." Owa Ewangelia wieczna dotychczas jest zagadką. Nie wiadomo na pewno, czy istniała, czy nie; pewnem jest tylko, że, jako przedmiot sporny, pojawia się w świecie teologicznym w r. 1254 i służy za rodzaj jabłka niezgody w kłótniach pomiędzy uniwersytetem a zakonami żebrzącymi, dominikanami i franciszkanami, którzy się pomiędzy sobą kłócili. Śród franciszkanów zwłaszcza wrzał w owej dobie ruch reformatorski, który zgłuszyła następnie ortodoksya urzędowa. Joachim de Flor uchodził za proroka natchnionego i jako taki występuje w *Boskiej komedyi*.

Artykuł p. t. „Franciszek z Asyżu" jest rozbiorem pracy pod takiemże tytułem, dokonanej po niemiecku przez profesora teologii Karola Hase i ogłoszonej w Lipsku 1856. Renan wziął sobie Franciszka z Asyżu za model, albo raczej upatruje wielkie pomiędzy sobą a nim podobieństwo ze względu na dwa mianowicie punkty: Franciszek z Asyżu był równie ekonomistą lichym i przeszedł przez świat, jak Renan, zajmując mieszkania najęte. Z powodu Franciszka z Asyżu autor *Życia Chrystusa* opowiada anegdotę następującą. Gdy artykuł o tym założycielu franciszkanów ukazał się w *Journal des Débats*, kapucyn jakiś takie księżnie*** wypowiedział o nim zdanie: „Pisał (Renan) o Jezusie nie tak, jakby należało; ale mówił dobrze o św. Franciszku—św. Franciszek zbawi go."

Z zajęciem ogromnem czyta się opracowanie następne: „Idylla mnisza—Krystyna ze Stommelu." Rzecz dotyczy drugiej połowy wieku XIII i ma za arenę wieś Stommel, w pobliżu Kolonii (nad Renem). Krystyna, dziewczyna wiejska, zasłynęła jako stygmatyzowana; miewała widzenia, walczyła z szatanem, uważano ją za dotkniętą łaską szczególną. Mnisi z Kolonii czuwali nad nią. Pomiędzy nimi znalazł się braciszek młody, ze Szwecyi przysłany i z tego powodu zwany Petrus de Dacia. Zawiązał on z Krystyną stosunek miłości w Chrystusie, miłości nadziemskiej, mistycznej a stałej. Kochali się tak przez życie całe; rozstawali się i pisywali do siebie; schodzili się; Petrus dwukrotnie dla Krystyny podróż ze Szwecyi do Kolonii odbywał, w końcu zabrał ją i w Szwecyi w późnej starości, wciąż się jednakowo kochając, żywota dokonali. Renan wyjął opowiadanie to ze zbiorów Bollandystów, w których drukowane są listy Franciszki i Petrusa. Przy tej sposobności zwraca na owe zbiory uwagę, zaznaczając, że znajdują się w nich rzeczy wielce ze względu na historyę religii ciekawe.

Prac następnych, zajmujących drugą połowę książki, tytuły tylko wymienię: „Sztuka religijna," „Kongregacye de Auxiliis"—jest to studyum historyczno - teologiczne; „Proces Galileusza," „Port-royal"—krytyka historyi w pięciu tomach napisanej przez S. Beuve'a; „Spinoza" — odczyt wypowiedziany przez Renana 12 lutego 1877 r. w Haadze.

Wróćmy do wstępu.

Renan, jak to jest we zwyczaju jego, przepraszać się zdaje publiczność za to, że ją sobą zajmuje. Staje przed nią z pokorą—dłonie złożone, głowa pochylona, na ustach uśmiech drwiący. Taką jest jego pokora. Uśmiech nabrzmiały jest zapytaniem: „Czy kto lepiej odemnie napisać zdoła?" Tyczy się to stylu. Jakoż, w rzeczy samej, pod tym względem Renan pierwsze zajmuje miejsce. Styl jego jest arcydziełem harmonii i czystości. Na tem polu, w chwili obecnej, żaden z autorów francuskich mierzyć się z nim nie może — zachwyca, czaruje cudzoziemców nawet. Przy końcu wstępu zapowiada pracę, która — tego pewnym być można—gdy się pojawi, rozchwytaną wnet zostanie. Zamierza on ułożyć nie co innego, tylko... książeczkę do nabożeństwa, *Ołtarzyk złoty*. Chce go ułożyć z wyjątków prac swoich dawniejszych, zdolnych „budować i pocieszać." Tytuł: „Czytanie nabożne," podzielone na pięćdziesiąt dwie części na każdą w roku niedzielę. „Na niedzielę każdą—słowa jego—byłby wyciąg z Ewangelii lub Ojców, modlitwa lub obrok duchowy. Kobieta nabożna, z powodu chyba opuszczeń pewnych, spostrzegłaby różnicę z *Ołtarzykiem złotym*, który ze sobą do kościoła nosi. Być może, iżby dla względów pewnych przeżyła książkę moją. Byłoby to zwycięstwo piękne. Nie czynię z tego tajemnicy, że, w rzeczy samej, książką, która we mnie wzbudza zazdrość największą, jest książka do nabożeństwa... Ambicya moja ostatnia zaspokojoną będzie, gdy po śmierci mojej wejść będę mógł do kościoła pod postacią malutkiej in 18-o książeczki, oprawnej w safian czarny, trzymanej długimi palcami ręki obciągniętej elegancką rękawiczką." Z góry już niektórzy krytycy Renanowi pokazują zaciśnięte pięście. Kto wie jednak, ażali mu się sztuka nie uda i czy w dłonie nabożnych nie wsunie w sposób ten wzorów stylu — co by było rzeczą, o ile pożyteczną, o tyle pożądaną.

T. T. Jeż.

HENRYK SIENKIEWICZ
(LITWOS).

II.

Oddaliwszy się nieco od wpływów życia studenckiego i wogóle od stosunków młodości, które przepuszczając przez każdą wrażliwszą naturę prąd elektryczny postępu, budzą w niej, słabszą lub mocniejszą, dążność zwracania się w kierunku wolnomyślnym — Sienkiewicz porzucił rojenia Wilków Garbowieckich, Iwaszkiewiczów i Szwarców, zdjął kapotkę demokratyczną i włożył czamarę szlachecką. W *Hani* (1876) tak określa swoje gniazdo rodzinne: „Ród nasz nie odznaczał się wprawdzie bogactwem magnatów, ale ową *wielką* staroszlachecką *zamożnością*, dającą chleba w bród i żywot cichy, dostatni," pozwalającą nawet — dodajmy — mieć dworską kaplicę i własnego księdza. Jest to wszakże tylko obrazek, wycięty z marzeń, nie zaś odrysowany z rzeczywistości. Marzenia te, nieprzypominające wcale demokratyzmu pierwszych kroków autora, odbiegają od prawdy tak daleko, że często uderzając w strunę uroczystą, wydobywają z niej dźwięk śmieszny. Wystawmy sobie kilkunastoletniego syna, który tak opowiada scenę pasowania go na rycerza w r. *1866* lub 7. „Ojciec, dając mi ją (szablę rodzinną), wydobył ją z pochwy, machnął nią parę razy, aż zawarczało powietrze i blask zrobił się w pokoju; potem nakreślił nią krzyż nad moją głową, ucałował obraz Matki boskiej i wręczając mi ją, rzekł: „W godne ręce; ja nic zrobiłem jej wstydu, nie zrób i ty."

Wyobraźmy sobie dziś trzydziestokilkoletniego mężczyznę z ową „szablą" rodzinną; co on ma z nią począć, ażeby „nie zrobić jej wstydu." Sienkiewicz nie dostrzegł tu komizmu, bo kreślił obraz nie realny, ale wyśniony i zapamiętany z powieści czytanych. Gdy jako bohater (kilkunastoletni) idzie na pojedynek z rówieśnikiem, spotyka ojca, który zamiast chłopca zwrócić do domu, żegna go uroczyście: „I tak w świetle z podniesionemi rękami wydał mi się ten posiwiały weteran, niby starym orłem, błogosławiącym zdaleka swe pisklę *na takie życie gromkie i skrzydlate*, w jakiem sam się kiedyś lubował (był wojskowym)." Obraz ten może mieć wdzięk starej porcelany a stosownie umieszczony nawet wzruszyć, ale z datą 1867 r., w Polsce, tchnie co najmniej czułością teatralną tak samo jak teatralnem junactwem w małem chłopięciu, Kaziu, uderza gotowość do „palnięcia w łeb" rywalowi brata. Sienkiewicz powiada o sobie: „ja zawsze byłem trochę sentymentalny" — i to prawda, potrzebująca tego tylko dopełnienia, że białko krwi tego sentymentalizmu jest zawsze szlacheckie, nawet wtedy, gdy ona płynie w żyłach Iwaszkiewicza lub Wilka Garbowieckiego. Ponieważ zaś główny wątek życia, mimo całej masy przesądów społecznych, ostatecznie nie tka się u nas z nici szlacheckich, tak, ażeby ono powieściopisarzowi dostarczało barwnych z tej przędzy wzorów, więc brak ten musi się łatać sztucznością szablonową. W utworach też Sienkiewicza występuje szablon dawnego romansu bardzo wyraźnie. Rozpatrzmy jakikolwiek objaw tego anachronizmu, ot np. wspomniany pojedynek.

Ten sposób załatwiania sporów i dochodzenia krzywdy jest zawsze barbarzyństwem, nawet wtedy, gdy występuje jako nieuniknione dopełnienie ułomności prawnych i obyczajowych; ale posiada on wszystkie znamiona przestarzałej głupoty jako walka dwu zalotników o kobietę, która stoi z boku i czeka na ofiarowanie się zwycięzcy. To już nie starcie ludzi, ale samców o samicę, w których rolę rogów, kłów i pazurów spełniają pistolety i szpady. Nie ubliżajmy zwierzętom, gdyż one są rozsądniejsze o tyle, że kozioł pokonawszy współzawodnika, zawsze zdobywa kozę, tymczasem Gaweł, zabiwszy Pawła, może czasem nie dostać Kunegundy. Jeżeli zaś ją posiądzie, wówczas ona w tej walce nie jest *osobą*, która samym swoim wyborem rozstrzyga wszelkie wątpliwości, ale *rzeczą*, łupem dla mocniejszego. Na podstawie dzisiejszych pojęć moralnych rozumny mężczyzna, kochający kobietę i kochany przez nią, ma jedną tylko odpowiedź wyzywającemu go o nią na pojedynek: wyrzucić go za drzwi i traktować jak napastnika. Z drugiej strony trudno uwierzyć w umysłowe zdrowie człowieka, który wymaga rozprawy orężnej za to, że nie jemu, lecz innemu jakaś pożądana przez niego kobieta ofiarowała swoją rękę. Ażeby uwidocznić sobie niedorzeczność podobnego postępowania, pomyślmy, że ktoś przysyła nam sekundantów nie z powodu przyjaciółki, ale przyjaciela. Etyka nasza zawiera w sobie mnóstwo pojęć przestarzałych i opartych na szeroko stosowanem prawie własności, przybranem w rozmaite szychy zwyczajowe. Do kategoryi tych pojęć należy również zasada walki zbrojnej o kobietę, będąca ciężką obrazą naszych uczuć ludzkich a nazywana honorową. Co powieściopisarze obchodzić mogą rozumowe racye pewnego zjawiska, on maluje życie takiem, jakiem jest. Prawda, ale czy życie takiem jest? Czy pojedynki, przecinające spór mężczyzn o kobietę, są dziś faktami powszednimi? Bynajmniej. Powieściopisarski szablon je zachował i chętnie przedstawia, bo one stanowią mocny efekt i ułatwiają wyobraźni autora wynajdywanie drażniących czytelnika pomysłów. Życie wszakże, rozsądniejsze od wszelkich rycersko-waryac-

kich komunałów oszczędniej szafuje krwią, tak szczodrze po kartach książek rozlewaną.

Sienkiewicz był na zbyt szlachcicem, ażeby mógł się wyrzec tego środka i całej wogóle maszyneryi artystycznej karmazynów pióra. W dwu jego utworach, ściśle z sobą połączonych, *Starym słudze* i *Hani* *) ciepłe światło oblewa niknący, jeżeli nie znikły już obraz patryarchalnego dworu z poczciwym sługą, niewolniczo do państwa przywiązanym, z poczciwym księdzem, z poczciwą nauczycielką, nie mówiąc o poczciwości dziedziców i dziedzicząt. Przy tej sielankowej gromadce, setki razy ukazywanej przez Kraszewskiego w całości lub częściach, staje na chwilę zdaleka korepetytor bohatera, student Szkoły Głównej, radykał, nieprzyjaciel możnowładztwa i zapalony wyznawca nauki bezbożnej. Jest to jedyna figura we wszystkich powieściach Sienkiewicza, przypominająca nieco tę lawę, która płynie z współczesnego nam wulkanu umysłowego. „Wykładając mi historyę rzymską — powiada o nim autor — tak dobrze umiał przy reformach Grachów udzielić mi swego obrzydzenia i pogardy dla wszelkiej oligarchii, że moje *arcyszlacheckie przekonania* rozwiały się jak dymek.“ Nie na długo — a chociaż ów korepetytor swemu uczniowi „otworzył wrota do nieznanych światów wiedzy,“ przesunął mu się później przez pamięć jako półgłówek.

Na tem tle szlacheckiem rozwija się osnowa główna. *Stary sługa*, umierając, zostawia córeczkę *Hanię*, którą uroczyście postanawia zaopiekować się „panicz i dziedzic.“ Opieka rodzi powoli miłość. Ale pomimo czułych zabiegów, mimo śmiałych harców na koniu, Henryk nie może pozyskać serca Hani, które oddaje się jego rówieśnikowi i koledze Selimowi-Mirzie Dawidowiczowi. Następuje między rywalami starcie. Selim wykrada Hanię i wiezie do ojca, który ją wszakże odsyła do rodziców Henryka. Zapaśnicy rozstrzygają sprawę pojedynkiem, podczas gdy bohaterka dostaje z przeziębienia ospy i zeszpecona wstępuje do zakonu sióstr miłosierdzia, gdzie znowu „piękną była jak nigdy.“ Pomijając teatralną rycerskość, która kilkunastoletnich młodzieńców trzyma ciągle w zbroi i każe im wszystkie ważniejsze sprawy załawiać na koniach, uczuciowa plecionka tej powiastki odrobiona jest bardzo pięknie. Nadewszystko w owym tercecie serc misternie rozwija się motyw dobo ru miłosnego między Hanią a Selimem, daremnie targanego wybuchami Henryka, który zdaje się posiada wszystkie warunki przewagi nad współzawodnikiem, a jednakże pokonać go nie może.

Sienkiewicz z natury swego talentu jest autorem kobiet. Jak gdyby siedząc w ich gronie, opowiada miękko, czule, poetycznie, umie wzruszać drobiazgami, ogładzać charaktery szorstkie i łagodzić zbyt mocne cienie, gra ciągle albo melodye sielankowe albo rycerskie. Głębszych myśli nie rzuca, wielkich zagadnień ludzkich nie porusza, lecz uspiwszy myśl słuchacza, to mu kilka łez wyciśnie, to go do łagodnego śmiechu pobudzi. Jego opowieść szemrze czasem jak czysta, pryskająca, świegotliwa, wo- niami ziół nadbrzeżnych okadzona woda, która nie odurza zmysłów, ale je kołysze do miłej drzemki. Taką jest *Hania*.

Autor, którego pierwszą powieść (*Na marne*) wydano z ilustracyami, który miał po za sobą szum, wywołany *Humoreskami z teki Worszyłły*, stworzył *Starego sługę* i *Hanię*, uznaną za „małe arcydzieło,“ który przytem pisywał chętnie czytane fejletony do *Gazety polskiej*, posiadał już dość znaczny rozgłos, gdy pewnego dnia bez wyraźnej przyczyny i celu, przypadkowo pobudzony, wyjechał do Ameryki. Był to wyskok z życia czczego, jałowego, marnowanego na sejmikach w cukierni Lourse'a lub w restauracyi „u Andzi,“ gdzie dotąd połowa literatów obraduje nad plotkami dnia, gdzie zasiadają przeróżne trybunały opinii. Samo wydobycie się z tej zatęchłej sadzawki, gdzie można było tylko z żabami grzechotać jednostajne chóry, zapewniało korzyść, a cóż dopiero olbrzymie rozszerzenie widnokręgu. To też wyjazd do Ameryki był dla Sienkiewicza rzutem niezmiernie szczęśliwym, w którym jego talent spotężniał i zebrał obfity zasób materyału do całego szeregu pięknych utworów. Najwięcej tego materyału zużytkował on w *Listach* i *Szkicach amerykańskich* (*Gazeta polska* 1876 i 7). Są to niezmiernie barwne widoki natury i sylwety życia. Najmocniejszą stroną uzdolnień Sienkiewicza jest niewątpliwie opisowość. Mniejsza o to, że on na morzu widzi bałwany, „przewyższające dziesięć razy szczyty mostów,“ że „kłóci się“ z zawiadowcą stacyi, nie umiejąc po angielsku, że wogóle często jest autorem w określeniu kaszubskiem — „łgorzem,“ ale plastyczność jego fantazyi, rozporządzającej wielkiem bogactwem wrażeń, bywa istotnie zadziwiającą. Jego krajobrazy są pełne i wyraziste, nie brak w nich ani jednego krzewu, ani jednego zwierzątka. Między innymi ze zbiorów amerykańskich nakreślił on pochód karawany *Przez stepy* (1879). Gromada ludzi wlecze się kilka miesięcy bezludną puszczą. Wprawdzie podczas tej wędrówki zawiązuje się stosunek miłosny, który ją urozmaica, ale po głównym planie autor przesuwa długą panoramę widoków natury. Przyznajmy, że trzeba posiadać niezwykłą wyobraźnię, ażeby nie wpaść w jednostajność. roztaczać coraz nowe obrazy i utrzymać w natężeniu uwagę czytelnika — powtarzam— wodząc go z karawaną przez kilka miesięcy. Na końcu podróży umiera poślubiona w drodze i ukochana żona naczelnika wyprawy, reszta ocalonych i wynędzniałych emigrantów wchodzi z nim na step wypalony — tu rozpoczyna się straszny dramat, którego Sienkiewicz nigdy odtworzyć z siłą nie umie, więc spuszcza zasłonę; ale całe przygotowanie do katastrofy, wszystkie walki z naturą, wszystkie jej wdzięki i okropności opisuje mistrzowsko. Toż samo w *Listach* i *Szkicach*. Gdy bierze strzelbę i wchodzi w głusz leśną, zdaje ci się, że polujesz z nim razem. A nie są to obrazy malowane z jakąś genialną techniką słowa i oryginalnością spotrzeżeń, bynajmniej, zwykle prosto, czasem niedbale szkicowane lub w stylu gawędziarskim, ale niezmiernie wyraźne i przejrzyste. Według wszelkiego prawdopodobieństwa talent opisowy, tak wielostronnie zużytkowany później w powieści *Ogniem i mieczem*, zawdzięcza Sienkiewicz Ameryce.

A jakże ona oddziała na jego przekonania? Czy znowu zdjął szlachecką czamarkę?

A. S.

Z NIEMIEC.

Heidelberg, czerwiec.

Pamiętniki Heinego. — Pamiętniki Bluntschlego. — Jerzy Weber. — Pomnik Grimmów. — Doktoryzacye.—Renaud.—Chotkowski.—Klaczki „Pogawędki florenckie.

Od lat trzydziestu prowadzono w Niemczech zacięte spory, czy Heine zostawił pamiętniki i ktoby je posiadał. Brat Henryka, Gustaw, twierdził uparcie i twierdzi jeszcze, że on jeden ma ten skarb drogi, ale że go światu pokazać nie chce. Zdaje się, że oprócz p. Gustawa nikt temu nie wierzy— przypuszczając, naturalnie, że on sam wierzy w to, co głosi.

Obecnie ogłoszony tomik, z szumnym tytułem „Pamiętniki Henryka Heinego“ (Hamburg 1884), poprzedza obszerna przedmowa Edwarda Engla, redaktora znanego *Magazynu literatury zagranicznej*; zajmuje ona czwartą część tomu i doprawdy najbardziej z całej książki jest interesującą. Okazuje się z niej, że Heine był napisał pamiętniki, pełne podobno jadu i goryczy względem wszystkich, co mu nie sprzyjali lub w drogę wchodzili, ale na parę lat przed śmiercią „ze względów rodzinnych i przez skrupuły religijne,“ jak sam powiada, spalił je, postanowiwszy napisać nowe, te właśnie, których część obecnie ogłoszono; część tylko, bo drugi braciszek Henryka, Maksymilian, po śmierci już Henryka, odwiedzając wdowę jego, piękną Matyldę, wyciągnął kilkadziesiąt arkuszy ze środka, zabrał je i zniszczył — dlaczego? Na to odpowiada nam Engel (str. 44): Maksymilian Heine, również jak i inni krewni poety, uważali sobie za hańbę, że pochodzą z ubogiej rodziny żydowskiej. A właśnie na tych wykradzionych arkuszach Henryk szczerze i bez ogródek swój rodowód opowiadał, zaprzeczając mitycznego szlachectwa matki swojej, która, jak jej mąż, była żydowskiego i to ubogiego pochodzenia.

Ze wstępu Engla dowiadujemy się także, iż rządy niemieckie zgłaszały się nieraz przez swych agentów do wdowy po Heinem, z propozycyą nabycia pamiętników, przypuszczając, iż znajdują się w nich ostre przeciw nim wycieczki, lub jakieś niedyskrecye; po przeczytaniu jednak rękopisu zamiar upadał, bo nic „szkodliwego“ w manuskrypcie nie znajdowano.

Dużo nieładnych, nawet nieczystych rzeczy o tej rodzinie poety prawi nam pan Engel w swojej przedmowie. Smutno widzieć taki brylant, jak natchnienie Henryka Heinego, oprawnym w tak lichy kruszec rodzinny. Zrozumialszą jednak się staje, po poznaniu tych szczegółów, ta gryząca ironia i gorycz, która rozsadzała serce biednego marzyciela.

Same pamiętniki zajmują sto stronic małego formatu. Odnoszą się one do czasów dziecinnych poety, malują dom rodziców jego; pisane są w tonie spokojnym, trochę sentymentalnym. Robią wrażenie tej słabej tęczy, która po burzy jak drugie pasmo staje przy jaskrawszej swej siostrze; barwy jej zaledwie są dostrzegalne i następują w przeciwnym porządku. Szkoda nieodżałowana owych spalonych pierwszych pamiętników, z których tylko kilka ocalałych kart tutaj znajdujemy. Łatwo to zrozumieć temu, kto choć raz zmuszony był na nowo napisać rzecz, którą dawniej z miłością skreślił: a szczególnie gdy przystąpią do tego względy rodzinne, skrupuły religijne i ciężka niemoc cielesna. Wychodzi obraz blady, martwy, nienaturalny: takiemi są obecnie ogłoszone wspomnienia wspomnień Heinego. Błyska od czasu do czasu iskra dawnego dowcipu i werwy; ale zaraz spostrzegamy, że to powtórzenie starego, dobrze znanego konceptu, z jakichś dawnych wierszy, lub dawniejszego listu poety.

Na końcu tomiku wydawca zamieścił kilka ułamków niedrukowanych dotąd rymów Heinego i dużo wariantów znanych jego poezyj. Pierwsze lepiejby było, aby zostały na zawsze w ukryciu, a drugie słabemi są w porównaniu z tem, co dawniej wydrukowano; dalej idzie ułamek pierwotnego, po niemiecku napisanego testamentu poety (późniejszy po francusku pisany, wydrukowano dawniej), listy jego francuskie i niemieckie, a w ich liczbie list Goethego, który dawniej podałem.

Tak więc jednem złudzeniem mniej: prawdziwe, obszerne, szczere pamiętniki Heinego już nie istnieją; co posiadamy, to tylko ułamek ułamka, to tylko iskierka, przyćmiona dwukrotnem odbiciem w zwierciadle, ostudzonem ostrożnością i refleksyą.

Nowiną dnia w niemieckim świecie literackim są obecnie pamiętniki Bluntschlego.

---

*) *Pisma*. Warszawa, 1880. Gebethner i Wolff.

Prawda podała już z nich ciekawy wyjątek ks. Bismarka o teoryi narodów *generis masculini et feminini*. Niemało tam się znajdzie i innych ciekawych rzeczy, bliżej lub dalej nas obchodzących. Sama postać autora przedstawia zajmujący okaz szwajcara republikanina, który dał się przechrzcić na gorliwego niemca i obwieszać orderami: pewnego pięknego poranku przegląda, liczy swoje ordery i zapisuje w dzienniku, ile ich ma i jak wyglądają... Mimo woli przychodzi na myśl, jako przeciwieństwo, niedawne znalezienie się profesorów sztrasburskich, którzy podali do namiestnictwa pokorną prośbę, aby wysoki rząd uwolnić ich raczył od obdarzania tytułami radców tajnych i najtajniejszych.

Nie mogę się oprzeć pokusie zamieszczenia tu ustępu z pamiętników zmarłego profesora, który odkrywa nam ciekawe zachcianki rządu pruskiego po bitwie pod Sadową. Dzienniki niemieckie podały ten ustęp, ale go złagodziły i obcięły. W tomie trzecim (od str. 200) czytamy co następuje: (mówi to ks. Bismark w poufnej konwersacyi z Bluntschlim):

„Po bitwie pod Sadową ja jeden głosowałem tylko za pokojem. Wszyscy byli przeciwko mnie. Król był gniewny, generałowie wściekali się na filistra (den Civilisten). Oświadczyłem królowi, że nie biorę na siebie odpowiedzialności w razie przedłużenia wojny i ustępuję. Ale jeżeli król mimo to chce wojnę prowadzić, zakładać sobie wschodnie cesarstwo rzymskie i ciągnąć na Konstantynopol, to upraszam o stanowisko w armii czynnej, aby przekonać, że mi nie brak odwagi.“ Potem jest obszerna mowa o osobie króla, o jego przeszłości i pracowitości. „Nic niema może dlań milszego, jak przegląd wojska. A jednak, choćby właśnie miał wyjeżdżać na rewię nowego pułku gwardyi, a jabym kazał mu oznajmić (ihm sagen liesse), że mam referaty do przedstawienia, to będzie bardzo nierad ze skrzyżowania jego zamiarów, ale zostanie i mnie wysłucha... Król przekonany jest, że wojsko bezwarunkowo wykona każdy jego rozkaz. Gdyby mi powiedział: Wpakuj tych wszystkich panów z sejmu do Spandau, to nie mówię, że jako minister konstytucyjny byłbym to zrobił, ale powiadam, że król, i to nie bez powodu, ma przekonanie, iż rozkazu jego wojsko by posłuchało. Gdy po wojnie (1866) chodziło o indemnizacyę, wystąpiło znowu na wierzch pytanie o przywróceniu absolutyzmu. Co do mnie, nie jestem zwolennikiem żadnego systemu konstytucyjnego. Można i absolutnie rządzić krajami z dobrym skutkiem.“ Bluntschli: „Zapewne, w pewnych okolicznościach. Ale nie w naszych czasach i nie narodami ucywilizowanymi. Absolutyzm wtedy tylko jest możliwym, gdy go wykonywują potężne, wyższe nad ogół jednostki. Ale narody nie mają na to żadnej rękojmi.“ Bismark: „Zapewne, że nie, bo nie mają i na to rękojmi, żeby te jednostki były dobremi. Monarcha absolutny musi prócz tego bardzo wiele rzeczy brać na siebie, których konstytucyjny przyjmować nie potrzebuje: ten może zwalić odpowiedzialność na większość, a tamten nie. Otóż oświadczyłem wówczas tym panom: Można Prusami rządzić i absolutnie, bo też wyrosły one pod rządem absolutnym. Ale nie wypada raz tak, to znów inaczej rządzić. A czy macie już zgodzenie się następcy tronu na zaprowadzenie rządów absolutnych? Jeżeli nie, to nie powinniśmy opuszczać toru konstytucyjnego, wracać do absolutyzmu, bo się dłużej nie utrzyma, jak tylko do wstąpienia na tron królewicza. Ten wzgląd przeważył, bo wiedziano, że następca tronu się nie zgodzi.“ Nie prawdaż, że te niedyskrecye rzucają pewne światło na wskrzeszoną obecnie Radę państwa i na mundury wojskowe przy poświęceniu gmachu sejmowego w Berlinie?

Z innych względów pamiętniki Bluntschlego dostarczą na czas długi karmi dziennikom niemieckim, odsłaniają bowiem wiele sekretów zakulisowych, co do stosunku południowych państw niemieckich do Prus, oraz rzucają wiele nowego światła na niemieckie sprawy kościelne ostatnich lat kilkunastu.

Sympatyczniejszą od Bluntschlego osobistością był i jest stary Jerzy Weber, autor i u nas znanych z tłomaczeń dziejów powszechnych. Weteran to prawie wygasłego dziś stronnictwa szczerze wolnomyślnego w Niemczech. Chociaż, co do lat, jest rówieśnikiem Bluntschlego, przeżył go, trzyma się krzepko i zachód życia spędza w pięknym Heidelbergu. Niedawno w miasteczku w Bergzabern, pod Weissenburgiem, wmurowano tablicę z napisem w domu, gdzie się urodził, na pamiątkę dokończenia piętnastotomowej jego historyi powszechnej, przy czem, ma się rozumieć, nie obeszło się mówek i wina reńskiego.

Nie zapominają tu o ludziach zasłużonych dawniejszej doby, a byli oni doprawdy lepszymi, sprawiedliwszymi i szczerszymi od dzisiejszych niemców. Mam tu na myśli braci Grimmów; zamierzono wystawić im pomnik; już się rozpoczęły wykłady publiczne, z których dochody pokryć mają jego koszta. Tutaj profesorowie Bartsch i Osthoff zapowiedzieli w tym celu kilka prelekcyj.

W ciągu ostatnich tygodni wydoktoryzowali się na uniwersytecie tutejszym dwaj nasi rodacy: panowie Emil Wechsler z Galicyi i Włodzimierz Sypniewski z Poznańskiego, pierwszy z medycyny, drugi z prawa.

Parę tygodni temu umarł tu profesor prawa Renaud, głośnej sławy w Niemczech, ceniony szczególnie jako teoretyk towarzystw akcyjnych.

Udzielono mi w tych dniach wycinek z dziennika bostońskiego *Herald* z dnia 5 czerwca b. r. Zawiera on wiadomość (która może obchodzić znajomych i krewnych tułacza polskiego), iż w Bridgeport (stan Connecticut) 1 czerwca umarł „hrabia Ignacy Chotkowski (dziennik pisze Chutkouski), wychodziec polski z r. 1835 (?), który świetnie służył Ameryce podczas wojny florydzkiej, był krewnym generała Kościuszki (?) i mieszkał ostatnimi czasy w Nowym Yorku.“

Juliana Klaczki *Pogawędki florenckie* świeżo przełożono na język niemiecki.

Jan Karłowicz.

LIBERUM VETO.

Dzielni wioślarze. — Górą nas!. — Tęcza nadziei nad przystanią. — Tysiąc członków. — Rozpacz Towarzystwa muzycznego. — Wioślarki. — Składki na powodzian.—Skromny w nich udział dwu żywiołów. — Spadek prenumeraty.—Bieda.—Nabożeństwo do materyi.—Zwykły wpływ konserwatywnych literatów. — Majtki.—Czarodziejstwo dra Ochorowicza.—Wezwanie do uniwersytetu lwowskiego i pięknych wioślarek. — Moje fortyfikacye.

Jeden z moich znajomych, który niedawno jeszcze, jadąc na Saską Kępę, trzymał się oburącz łodzi i sinemi od strachu ustami pytał ciągle wioślarza: „czy tu głęboko?“ — został „dzielnym wioślarzem.“ „Dzielnym“ dlatego, że taki tytuł prasa, wyrabiająca opinię, nadała wszystkim członkom Towarzystwa Wioślarskiego, a po ostatnich wyścigach byłby otwartym nieprzyjacielem kraju, ktoby inaczej mniemał. Niemiecki bowiem Yacht-klub zwyciężony—górą nasi! Przynajmniej na tem polu... dodaje z westchnieniem po radosnym wykrzyku *Wiek*. Tylko początek jest trudny—wkrótce spędzimy niemców i z innych stanowisk. Tysiąc, wyraźnie tysiąc „dzielnych wioślarzy“ w samej Warszawie — to nie żarty! Podobnej falangi nie wystawiłby nawet Londyn. Całe szczęście, że Wisła nieco przybrała, bo gdy opadnie, zbraknie w niej pod miastem wody na pomieszczenie wszystkich czółenek. Z drugiej strony trzeba Towarzystwu policzyć za wielką zasługę, że podczas powodzi nie wypuściło swych członków liczniejszą gromadą, gdyż w takim razie woda, wypchana przez tę flotę, mogłaby sięgnąć do rogatek wolskich. Słusznie „ta młoda a tak świetne nadzieje budząca instytucya“ ściąga na siebie spojrzenia ogółu. Ulży ona nieco ciężaru i Towarzystwu Kr. Ziem., i Towarzystwu dobroczynności, i Resursie kupieckiej, i innym zakładom, do których usiłowano przybudować to inżenieryę geologiczną, to kasę literacką, to panteon wiedzy, ale energicznie spełni znaczną część zadań społecznych. Gdy dawniej myślałem: jakim sposobem pomnożyć liczbę gimnazyów a zmniejszyć liczbę pokątnych doradców i „dobrze znanych“ złodziejów—nie wiedziałem, czy ten obowiązek włożyć na Resursę Obywatelską, czy Kupiecką. Dziś, gdy nie widzę drogi ratunku, pocieszam się wiarą: temu zaradzi Towarzystwo Wioślarskie. O, bądźcie pewni, panowie przywiślanie, że wam nie pozwolimy tylko pływać i bawić się. Musicie zaprowadzić nawet wodociągi i urządzić u siebie towarzystwo opieki nad dziećmi, jeśli tego będzie potrzeba. Prasa niedarmo pokłada w was taką ufność i okłaskuje wasze tryumfy w regatach. I ja z początku sądziłem, że składacie tylko towarzystwo niewinnej zabawy i przyjemnej gimnastyki, ale niektóre pisma otworzyły mi oczy. Górą nasi! krzyczę z całej piersi—do Gdańska—to popłyną do Gdańska. A ja z nimi, bo prasa dobrze poinformowana zaręcza: pod tym znakiem zwyciężymy.

Nad Wisłą, wprost przystani, spotkałem dwu ludzi bladych, z błędnym, samobójczym wzrokiem. Zdawało mi się, że chcą skoczyć w nurty rzeki. Poznałem ich—byli to członkowie Towarzystwa Muzycznego.

— Patrz pan—rzekł jeden rozpaczliwie, wskazując na przystań — teraz tam lecą. Przed dziesięciu laty tak pędzili do nas. Moda przeminęła... Dawniej kazała słuchać koncertów, dziś każe w łódkach pływać. Większa część od nas uciekła... Powiadają, że zawiedliśmy oczekiwania. Jakie? Chcieli, żeby im grać — graliśmy, chcieli tańczyć—tańczyli, a uchylenie podatku gruntowego nie było w naszej mocy. Zobaczysz pan, jak za lat kilka, gdy powstanie coś nowego, skurczy się zastęp „dzielnych wioślarzy.“ Ten, co tak wiosłem macha, to nasz członek, tamten drugi, trzeci, czwarty —także. Składek nie popłacili i z melomanów zostali wioślarzami. Nie pozostaje Noskowskiemu nic innego, jak zgodzić się tu na kapelmajstra.

— A nie tłoczcież się, piękne panie—zawołał drugi, rozkładając ręce — w Towarzystwie Muzycznem jest więcej miejsca... Prawdziwa kanikuła z tem wioślarstwem. Niedawno cietrzewiły się do Bacha i Mozarta, a teraz ze spódnic porobią żagle a z wachlarzów stery...

— Jakto?

— Nie słyszałeś pan? Ma powstać towarzystwo „dzielnych wioślarek.“

— Niepodobna!

— Czytałem w obu *Kuryerach*.

— A wiesz pan — zauważyłem — to będzie bardzo sprawiedliwem, Bo jeśli śród mężczyzn znalazło się 1000 wioślarzy, to przecież śród kobiet, które stanowią w Warszawie przewyżkę 20,000 i mają daleko mniej zajęć, musi być, co najmniej, 2000 zwolenniczek pływania. Zresztą dziś małżeństwa tak trudno kojarzą się na lądzie... może woda będzie szczęśliwszą, zwłaszcza że z niej przecie wyszła Wenus. Kochany panie, jeżeli w życiu swojem założysz jeszcze jaką instytucyę i będziesz chciał do niej ściągnąć kobiety, to naprzód postaraj się,

ażeby ona zapewniała wielkie prawdopodobieństwo poznawania się młodych ludzi i wychodzenia dobrze zamąż. Towarzystwo muzyczne przeoczyło ten warunek i dlatego upada, bo chociaż ułatwia znajomości—ale co to za partya muzyk!

W każdym razie wszyscy członkowie „młodej a tak wielkie nadzieje budzącej instytucyi“ i ty mój „dzielny wioślarzu“ drżący w przejeździe na Saską Kępę i najbardziej podziwiający Kolumba za to, że płynął przez morze, nie widząc jego brzegów — przyjmijcie ode mnie szczere błogosławieństwo z życzeniem, bodajby was nie spotkał los Towarzystwa Muzycznego!

Składki na przymusowych wioślarzy, zalanych powodzią, zaczynają opadać równocześnie z Wisłą. Niedługo sączyć się będą z kar, nakładanych na furmanów i stróżów oraz z ofiar ludzi, „proszących Boga, ażeby ich uchronił od niegrzecznych kupców.“ Przeglądając najobfitszą listę *Kuryera warszawskiego* dostrzegłem w niej uderzająco mały procent dwu stanów: literatów i księży. Wprawdzie są oni od opłakiwania cudzej niedoli i nawoływania do ratunku, ale ponieważ pierwsi pobierają za to honorarya a drudzy pensye, a niejeden reporter zarobił na powodzi więcej, niż Mickiewicz na *Grażynie* a Kant na *Krytyce czystego rozumu*, ponieważ głód i choroby również księżom niezawodnie pomnożą dochód, jest więc rzeczą słuszną, ażeby oba te żywioły złożyły dobrowolną daninę.

Tylko wydawców pism należałoby od niej wyjątkowo uwolnić. Słyszę bowiem ze wszech stron, że prenumerata trzyma się w tej porze odwrotnego systematu niż Wisła i wiele wydawnictw dotknęła poważnem spadnięciem. Nie tracą tylko organa, będące wyrazem rzeczywistej potrzeby, posiadające wyraźnie określony i — o horror! — postępowy kierunek. Wszystkie zaś te, które ślubowano abonować na sąsiedzkich zjazdach, które ojcowie polecają w testamencie synom lub które trzymano z nałogu, tracą grunt pod glinianemi stopami. Nie jest to zaś zwykła zniżka letnia, która sprowadza drobne wahania dla całej prasy, ale spadek gwałtowny, trwający już od n. roku i ścieśniający znacznie koła czytelnicze. Niewątpliwie wpłynęła na to ogólna bieda, która coraz szerzej pozwala palcom z dziurawych butów wyglądać na świat boży. Niedawne jeszcze vivaty na cześć rozwoju materyalnego ucichły, trudnym warunkom życia przybywają do pomocy klęski, pompa podatkowa zapuszcza się coraz głębiej, a produkcyę kraju opasuje z każdym dniem ciaśniejsza obręcz zagranicznego współzawodnictwa. Roznerwowany, chory, histerycznie wrażliwy rubel odczuwa najlżejsze zmiany temperatury politycznej i spada zarówno na wieść o wznowionej wojnie tonkińskiej, jak i na wiadomość o cholerze w Tulonie. Ach, jakżeby wszyscy adwokaci idealizmu, którzy tyle procesów pozytywistom wytoczyli o zmateryalizowanie społeczeństwa, słysząc dziś gwizdanie wiatru w pustych kieszeniach, pragnęli, ażeby ta „materya“ przestała topnieć! Dziś nie siadają w krzakach i nie naśladują słowików, ale, biegając koło pustego stołu, jak dzieci, które chlebem poniewierały, wołają żałośnie: papu—papu!

Prawdopodobnie dotkliwe przerzedzenie się szeregów prenumeraty konserwatywnej wywołało znowu w kilku pismach tej barwy upływ gorzkiej wody przeciwko liberalizmowi, który kiedyś pobudził Ewę do zerwania jabłka a obecnie podnosi cenę wisien. Z drugiej strony wszakże może to być zwykły paroksyzm literackiego próżniactwa. Włóczy się z pustą głową po ulicach, pije kawę w Saskim ogrodzie „poważny publicysta“ i nie wie — „o czem tu pisać na warszawskim bruku.“ Teatry odpoczywają, wystawa inwentarza zamknięta, powódź minęła, „konstelacye polityczne“ nie układają się, „konfliktów niema,“ a tu trzeba koniecznie zaczernić szmat białego papieru i zarobić dla pożywienia nieszczęsnej „materyi.“ Podobno gracze powiadają: gdy nie wiesz z czego wyjść, wychodź *z kara*; konserwatyści zaś, nieposiadający renty, sądzą: gdy nie masz o czem pisać, pisz o zgubnym wpływie naszego liberalizmu. Jakoż kładą sobie do ust to, co dawno, po tysiąc razy wypluli i sieją *da capo*. Niezmiernie mnie to cieszy, że postępowcy nasi już wyrośli z tych majtek czczej i na różne strony nicowanej frazeologii, w których spacerują obecnie już tylko bębny konserwatyzmu. Ludziom dojrzałym doprawdy już nie przystoi to ciągłe młócenie dawno omłóconego snopka. Chcesz sobie uprawiać jakąś niwę, to sobie ją uprawiaj, ale siej na niej ziarna i rozdawaj plony, a nie wałęsaj się po targu i nie krzycz: mam mierzwę końską, strzeżcie się sztucznych nawozów. Ogół nie pyta, co ty w rolę kładziesz, ale żąda produktu. Za młodszych czasów, spostrzegłszy najazd prawomyślnej drużyny, chwytałem za broń i występowałem do walki: dziś wstrzymuję innych od bezpłodnej bijatyki i powtarzam: niech się to biedactwo trochę na naszych zagonach pożywi. Najzupełniej bowiem wchodzę w położenie literata, który potrzebuje jeść a niema o czem pisać, że kropi stare kazanie o ósmym grzechu głównym — liberalizmie.

Niejeden tydzień upłynąłby nam nudnie, gdyby nie dr. Ochorowicz. To nam doniesie o jakiemś swojem odkryciu, które szelmy francuzi sobie przywłaszczyli, to o jakiej nowej histeryczce, to o magnetycznem uspieniu kogoś, to o tajemniczem pukaniu—słowem same cuda, przy których bledną bajki wschodnie. Że Paryż posiadając tak znakomitego męża, nie da mu katedry w uniwersytecie i pozwala pisywać gawędy do *Kuryera warszawskiego* — to rozumiem, ale dlaczego Lwów nie sprowadzi go nazad i nie da wreszcie pensyi, bez której przecie filozofować trudno — nie pojmuję. A mówię to bez żartu. Ochorowicz jest może najzdolniejszym u nas popularyzatorem i dla uniwersytetu więcej wart, niż Czerkawski w kwadracie, licząc mu nawet to za zasługę, że od pewnego czasu wcale nie wykłada. Ale szanowny magnetyzer ma jedną fatalną wadę: chwyta zwykle z nauki czarodziejskie sztuczki, tajemnicze efekty, wszystko co się nadaje do publicznych przedstawień. Hypnotyzm, spirityzm, pukania, duchy — oto ulubiony przedmiot jego studyów. Jako profesor na katedrze uniwersyteckiej niezawodnie pozbyłby się tej słabostki i utrzymał na stanowisku nauki ścisłej, jako wolny praktykant tajemnic psychologicznych, pomału zamienia się na Donata i Cumberlanda. Szczytem jego marzeń jest obecnie, zdaje się, wynalezienie z zawiązanemi oczami szpilki, zatkniętej w Lasku Bulońskim. Nie przeczę, iż wszystkie magnetyzowania, odczytywania myśli itd. zasługują na zbadanie umiejętne, ale, opanowawszy umysł wrażliwy i fantastyczny, mogą zeń wypłoszyć naukę i wprowadzić manią z kuglarstwem. Na to zaś szkoda zdolności Ochorowicza, który więcej by przyniósł pożytku krajowi, ucząc młodzież teoryi tworzenia się pojęć, niż opisując bałamuctwa jakiejś zdenerwowanej baby. Nie zaszkodziłoby przytem, ażeby się ożenił. Ostatnie bowiem swoje sprawozdania z bytności u pani Bławackiej, „teozofistki“ wschodniej, widzącej myśli i wywołującej tajemnicze pukania, takiem zamyka westchnieniem: „Gdy wróciwszy do domu z głową „pełną chaosu“ tych wszystkich siódemek i pukań rozmyślałem, na sprężynowym materacu, nad wrażeniami teozoficznego posiedzenia, następujące myśli spać mi nie dawały:

Szczęśliwy, kto zna wszystkie cztery dusze i wszystkie siedem pierwiastków! Szczęśliwszy — kto jo sam w całości posiada. Ale najszczęśliwszy ten, komu nieba dały jedną duszę żywą, kochającą, której serce w takt z naszem puka... Próżno jednak oglądam się dookoła, daremnie przyspieszam oddechy!...

Śpijmy, nic nie puka.

Gdzie moja *Manas*! Gdzie moja *Buddhi*?“

Uniwersytet lwowski może Ochorowicza wyratować od zagrzebywania się w teozoficznej szarlataneryi, a o dostarczeniu mu jakiej *Manas* i *Buddhi* pomyślcie pięknc... wioślarki.

Kończę, bo i mnie wzywa tajemnicze pukanie... złodziejów, zdobywających w Rembertowie co noc prawie dom letni, w którym mieszka chora żona i drobne dzieci. Śmiali rabusie wyłamują sobie drzwi flegmatycznie i nawet gniewają się, jeśli ich kto krzykiem płoszy. Po skończonej więc pracy muszę z nabitą dubeltówką iść na wartę. Fortyfikacye prowadzę szybko, ale jeszcze nie skończone. Broń, zasuwy, nawet skromna najęta załoga już jest, ale trzem drabom uzbrojonym w pałki, siekiery i sztaby żelazne wszystko to może uledz. Probowałem układów, ofiarując im zawartość piwnicy—ale nie godzą się. Odwiedził mnie strażnik ziemski, żądając paszportu i tłomacząc, że inaczej musiałby nas wszystkich odstawić do gminy; pytałem go o radę.

— Albo ja wiem, co zrobić? — odrzekł spokojnie. A czy pan ma pozwolenie na broń?

— Mam.

— Tylko niech pan teraz do zajęców nie strzela, bo niewolno.

Ciekawy jestem, czy też spokojniej można spać u Siouxów i Apaczów?

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Moralny rewirowy. — Znowu polemika przyzwoita. — Sądy litewskie. — Opieka nad dziećmi. — Podpalenia. — Deklaracya samobójcy. — Poszukiwanie konkurenta. — Cuda w Wilkomierzu. — Reformatorowie żydowscy. — Przypadek zdradliwy.

Spokojny obywatelu, który przez ciekawość jedynie czytałeś opisy machin piekielnych, wybuchów dynamitowych i innych okropności rewolucyjnych, ciesząc się, że niebo uczyniło cię dalekim i bezpiecznym ich świadkiem, przebudź się ze swej drzemki i dowiedz się, że stoimy na wulkanie. „Gdy nad Tamizą nowe wybuchy dynamitowe niepokoją mieszkańców starego Albionu, gdy nad brzegami Sekwany świeżo uchwalone prawo o rozwodach grozi podkopaniem (?) życia rodzinnego we Francyi, gdy nad Sprcą wreszcie świeżo proklamowane przez żelaznego księcia prawo do pracy wywołuje manifestacye przeciw samemu twórcy socyalizmu państwowego— i nad naszą Wisłą nieustają w swojej rozkładowej pracy pionierzy rzekomego postępu. W szczupłym zakresie dostępnej dla nich działalności (dowcipnie powiedziane) robią oni wszystko, co zrobić mogą i do czego są zdolni.“

Autor, który w najemniczym hufcu współpracowników *Niwy* dosłużył się dopiero stopnia *chorążego* wali w ten sposób Ossy na Peliony, gromadzi stosy przeróżnych okropności i buduje górę, która, niestety, rodzi mysz. Cały ten bowiem aparat groźnych porównań, nieudolnych zestawień i ukrytych insynuacyj potrzebnym był do zgromienia *Prawdy*, zwłaszcza zaś mnie, za to, że wątpię o dobroczynnym wpływie religii na moralność. Przypuszczając, że pod tym rycerskim pseudonymem kryje się „rewirowy moralny,“ który obejmie komendę nad całym zastępem „stróżów porządku społecznego,“ winszuję mu tego rodzaju „odwagi cywilnej,“ jakiej w przytoczonym ustępie złożył dowody i życzę tylko trochę więcej konsekwencyi. Bo

oto o kilkadziesiąt wierszy niżej, ten sam autor oburza się na niewłaściwy sposób prowadzenia polemiki i dla usunięcia tego zła proponuje utworzenie sądów honorowych. Doprawdy, wolę grad bezmyślnych obelg a nawet łgarstw antysemickich aniżeli takie „delikatne" zestawienie faktów. Ponieważ projektowanych sądów niema jeszcze, zaznaczam więc tylko, że i w danym wypadku religia (wszyscy współpracownicy *Niwy* są religijni, bo modlą się, poszczą, chodzą do spowiedzi i... otrzymują jałmużnę) wywarła nieszczególny wpływ na moralność autora, któremu widocznie laury Cytowicza spać nie dają.

Z tej samej instytucyi społecznego porządku, która oddała *Prawdę* pod nadzór moralny — *Echo łomżyńskie* otrzymało patent na dobrego obywatela. Nie chcemy wydawać sądu z pierwszego numeru tego pisma, chociaż i teraz widać już różnicę pomiędzy nowem a dawnem *Echem* — czekajmy dalszego ciągu. W każdym razie, gdyby nawet organ łomżyński nie odpowiedział oczekiwaniom, przyniesie on korzyść, jeżeli nie okolicy, to przynajmniej pismom warszawskim, które połowę szpalt zapełniają przedrukami z prowincyonalnych dzienników.

Jeżeli pochwała *Niwy* nie przynosi nikomu chluby, to cóż dopiero powiedzieć o nieszczęśliwych sądach przysięgłych na Litwie, które pozyskały przychylną atestacyę od *Nowego Wremieni*. Ale cóż robić kiedy rzeczywiście zasługują na nią i kiedy w danym razie *Nowoje Wremia* ma zupełną racyę. Przysięgli chętnie i sumiennie pełnią swe obowiązki, co dowodzi, że ludność chce i umie korzystać z nadanych jej praw. Wyroki są zwykle dość surowe (nie zawsze to zaleta) i raz tylko zdarzyło się, że pomimo jasnych dowodów winy przysięgli uwolnili od odpowiedzialności oskarżonych o opór władzy. Przyczynę tego faktu korespondent widzi w zbytniej srogości prawa dla tego rodzaju przestępstw i w uzasadnionej niechęci ludności ku władzom policyjnym. Dalibóg, miło posłuchać, widocznie równocześnie z odjazdem p. Mołczanowa intryga polska i żydowska zniknęły a przynajmniej schowały się, aż do jego powrotu.

Gazeta lubelska gorliwie zajęła się sprawą dzieci. Wobec słabego rozwoju u nas kolonij letnich, pismo to proponuje, żeby właściciele niektórych ogrodów w mieście pozwolili uczęszczać do nich dzieciom, nad którymi rozciągnięty będzie odpowiedni dozór. Dzieci otrzymywać mają szklankę mleka i kawałek chleba na śniadanie i podwieczorek, na obiad zaś rodzice zabierać je będą do domów. Myśl to praktyczna i koszta jej wykonania niewielkie. Poprzednio to samo pismo poruszyło również kwestyę ochronek wiejskich, bodajby nie na próżno. Dotychczas sprawa ta idzie u nas opornie i corocznie setki chłopskich dzieci giną w płomieniach, topią się w wodzie, tratowane są przez bydło a bywały nawet przykłady, że żywcem zjadały je świnie. Ale panny wiejskie, wylewające łzy nad losem miss Eliny, która kocha lorda Pimperleya a zmuszoną jest poślubić lorda Fiferleja, nie mają czasu o tem pomyśleć. Umierają więc sobie chłopskie dzieci a my pocieszamy się tem, że „płodność naturalna" ich rodziców zapełni wyszczerbione szeregi. A jakże umierać nie mają, kiedy oto dzieci zamożniejszych rodziców troskliwie strzeżone stają nieraz ofiarą wypadku. W ciągu zeszłego tygodnia w jednej gubernii lubelskiej kronika notuje aż trzy ofiary. W Tomaszowie synek urzędnika, bawiąc się strzelbą, zabił swą maleńką siostrzyczkę. Dwóch synów b. redaktora *Gazety* Zaleskiego utonęło podczas kąpieli w Wieprzu i nawet ciał ich nie znaleziono. Nieszczęśliwy ten, złamany kalectwem człowiek, po zgonie żony usunął się niedawno od obowiązków dziennikarskich, dziś traci znów dwóch synów. W obec takiej katastrofy milkną słowa współczucia, bo najserdeczniejsze nawet nie otrą jednej łzy zbolałego ojca.

W Kownie kilkakrotnie w różnych punktach miasta wszczynał się pożar z podpalenia. W żadnym wypadku ogień nie przyjął szerszych rozmiarów, ale mieszkańcy nie wiedząc ani dnia ani godziny, w której zawita do nich niepożądany gość znajdują się w ciągłym strachu.

Przyczyny częstych pożarów wyjaśnia p. M. Synoradzki w *Korespondencie płockim*. W Bieżuniu spłonęła niedawno szopa, warta najwięcej 200 rs., a zabezpieczona na 3,000 rs. W sąsiedniej wiosce spaliły się dwa budynki puste, warte 100 rs. a oceniono na 4,000 rs. Wreszcie stary domek, w którym najmuje mieszkanie korespondent, kompletna ruina, za którą nikt by nie dał 100 rs. zaasekurowany jest na 4,000 rs. Gdyby dom się spalił, właściciel zrobiłby świetny interes, to też niedawno z „niewiadomych przyczyn" w komórce należącej do gospodarza wszczął się ogień. P. Synoradzki powiada, że niema dowodów, czy w przytoczonych wypadkach ogień wynikł z podpalenia. Sądzę, że ubezpieczanie, kilkakrotnie przewyższające istotną wartość budynku, jest dowodem aż nadto dostatecznym. Najgorszem jednak to, że plaga ta z trudnością usuniętą być może, dopóki istnieją prywatne towarzystwa asekuracyjne i agenci zainteresowani w tem, żeby zebrać jak najwięcej ubezpieczeń i na jaknajwyższą sumę. Wzajemne zaś asekuracye dopóki nie staną się jedną istytucyą, obejmującą kraj cały — są tylko paliatywami.

Mania samobójstw, o której pisaliśmy poprzednio, pochłania coraz nowe ofiary. Statystyka zaznacza, że w chwilach ekonomicznych przesileń liczba samobójstw wzrasta, ale nie tłomaczy nam takich faktów, jak targnięcie się na własne życie dwunastoletniego wiejskiego chłopaka. Rodzice młodziutkiego samobójcy obchodzili się się z nim dobrze, żadnych innych powodów nie było. Widocznie jednak w duszy małego pastuszka odbywała się tajemnicza walka pragnień beznadziejnych z szorstką rzeczywistością, która doprowadziła wreszcie do tragicznego rozwiązania. Ale ktoby tam badał tajemnice dusz dziecięcych, a do tego jeszcze dusz chłopskich! Tylko gromada dla odstraszenia innych, pomimo próśb rodziców nie pozwoliła pochować „wiszałnyka" (działo się to w okolicach Berdyczowa) na cmentarzu, ale zakopała zwłoki jego na rozdrożu. Nie wiem, czy ten zapobiegawczy środek wyda odpowiednie rezultaty, bądź co bądź wszakże, skuteczniejszym jest nierównie, niż pomysł pewnego rewirowego w Kijowie. Ten rygorysta, kiedy przyprowadzono doń zdjętego ze stryczka samobójcę, kazał mu podpisać deklaracyę tej treści: „Ja niżej podpisany zobowiązuję się i przyrzekam, że w przyszłości nie ośmielę się targnąć na własne życie, pod groźbą kary określonej w artykule 29 Ustawy o karach wymierzanych przez sędziów pokoju (niewykonanie prawnych żądań policyi). Podpisy deklaranta i dwóch świadków. Poczciwy rewirowy spodziewał się widocznie, że 29 artykuł obowiązuje nawet tam, gdzie niema ani płaczu, ani westchnień, ani 15 tomów „Zbioru praw," ani sędziów mirowych i policyi.

Ta wszakże surowość prawa nie przeszkadza np. pewnemu kapitanowi urządzać publicznych igrzysk tego rodzaju, że przywiązuje on do płotu kilka kotów i szczuje ich psem. Istnieje w Kijowie co prawda, Towarzystwo opieki nad zwierzętami ale widocznie jest tego zdania, że w braku achałtekińców i innych wrogów, potrzeba dać jakąś satysfakcyę rycerskim instynktom, co też dzielny kapitan spełnia na kotach.

Zresztą mieszkańcy Kijowa zajęci są teraz czem innem. Niedawno rozeszła się pogłoska, że do miasta tego przyjechała dama, która zamiast twarzy posiada świński ryj i ofiarowuje każdemu, kto zechce z nią wstąpić w związki małżeńskie 5 milionów rubli. Ciekawi z różnych końców miasta schodzą się na Kreszczatyk, na tej bowiem pryncypalnej ulicy mieszkać ma dziwotwór; są nawet tacy, co zapewniali, że widzieli ową damę ale za woalem. Poprzednio tego samego rodzaju wieści krążyły w Mińsku, czekajmy, może w pogoni za narzeczonym dama-świnia zawita i do nas — mieliśmy już przecie kobietę z wężem.

Na świecie niema nic nieprawdopodobnego, kiedy np. w Wilkomierzu nieboszczyk zmarły przed czterema laty zmartwychwstał (rozumie się za sprawą adwokata) stanął przed sądem i przyznał swój dług. Wogóle różne czarodziejstwa są w Wilkomierzu na porządku dziennym. Do superrewizyi np. zamiast zdrowych stają chorzy i otrzymują uwolnienie od wojska, a ów cudotwórca adwokat nietylko wskrzesza zmarłych, ale do współki z pocztmajstrem z zapieczętowanej koperty usuwa marki stemplowe, w skutek czego apelacya podana przez przeciwną stronę zostaje przez sąd odrzuconą i korzystny dla adwokata wyrok otrzymuje moc prawa. Na nieszczęście prokurator okazał się także amatorem sztuk magicznych i postanowił koniecznie dojść, jakim sposobem odbył się ten hokus-pokus, jest więc nadzieja, że w krótkim czasie Wilkomierz utraci sławę miasta cudów.

Taki to już zresztą sceptyczny duch wieku, że wszelkie cudotwórstwa tracą grunt pod nogami. W Łodzi pomiędzy chasydami pewne grono młodych izraelitów postanowiło wyłamać się z pod władzy swego cadyka, mieszkającego w Aleksandrowie. Młodzi reformatorzy posunęli się podobno dosyć daleko w kierunku religijnym. Ale zaledwie wiadomość o tej rewolucyi doszła do uszu cadyka, wysłał on do Łodzi swych wiernych drabantów, którzy w mieszkaniach malkontentów zrobili rewizyę i zabrali im wszystkie, nawet hebrajskie książki i pisma. Wszystkie te druki zamieszczono na indeksie a nieposłusznym zagrożono klątwą. Dziwnem jest w tym wypadku posłuszeństwo młodzieży żydowskiej, kiedy w jej oczach powaga cadyka straciła już swą siłę — widocznie nie tak to łatwo łamać chociażby zardzewiałe kajdany.

W tej samej Łodzi do mieszkania zajętego na pensyonat żeński zakradli się złodzieje i szczęśliwie spakowali wszystkie cenniejsze rzeczy. Ale znalazłszy w mieszkaniu guwernantek sporą ilość butelek piwa a może i innych spirytualiów, rzezimieszkowie podchmielili sobie i narobili takiego hałasu, że to zwróciło uwagę sąsiadów. Musieli więc, porzuciwszy łupy, ratować się ucieczką. Zdemaskowane w swych zamiłowaniach wychowawczynie młodzieży zawrzały srogim gniewem nie tyle na złodziejów, ile na redakcyę miejscowego dziennika, za rozgłoszenie tego faktu.

Do registru zawiedzionych nadziei wciągam dziś rozczarowanie fabrykantów tomaszowskich, wywołane dotychczasową działalnością otworzonego w tem mieście oddziału Banku państwa. Wszystkie operacye pieniężne, jakie ta instytucya ma prawo wykonywać —dla tamecznych przemysłowców nie mają znaczenia, najważniejszych zaś, jako to, skupu weksli i pożyczek na zastaw towarów filia banku nie może spełnić. Panowie fabrykanci tomaszowscy piją piwo, które sami sobie nawarzyli — dlatego też nie żałuję ich wcale.

Nil.

Łódź. W jednej z fabryk palacz, zajęty czyszczeniem maszyny, porwany został przez pas transmisyjny i strasznie pokaleczony. Przyczyną — nieostrożność, polegająca, niestety, na tem, że dla oszczędności miejsca, przejścia między maszynami są zbyt wąskie a dla oszczędności czasu — czyszczenie odbywa się wtedy, gdy maszyna działa.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 9 lipca.

W pierwszych dniach lipca odbyły się wybory do sejmów krajowych Dolnej Austryi i Morawii. W obu tych prowincyach centraliści ponieśli dotkliwą porażkę. W dolnej Austryi, w kuryi miejskiej, przeprowadzili wszystkich swych stronników, ale w gminach wiejskich stracili trzy okręgi, które dostały się konserwatystom i t. zw. frakcyi włościańskiej. Wypadek ten dotyka ich pośrednio tylko, bo świadczy o upadku partyi, ale nie pozbawia jej większości w sejmie. Natomiast w Morawii stracili większość, bo aż 10 okręgów wybrało bądź kandydatów narodowych, bądź właścicieli ziemskich należących do stronnictwa środkowego, które w wielu wypadkach głosować będzie razem z czechami. W nowym sejmie morawskim zasiędzie 43 czechów, 41 centralistów i 8 członków partyi środka. Przed samymi nawet wyborami czesi nie spodziewali się tak pomyślnych rezultatów.

Równocześnie święcą oni drugi tryumf; przy wyborach do izby handlowo-przemysłowej w Pradze przeszło 32 czechów, a tylko 16 niemców, kiedy dotychczas stosunek głosów był wprost przeciwny.

Francuska Izba deputowanych w trzecim i ostatnim czytaniu przyjęła rządowy projekt rewizyi konstytucyi, wobec stałej większości, tym razem nawet Clemenceau i radykalni głosowali za nim.

Tymczasem w stosunkach zewnętrznych zanosi się na wojnę z Chinami. Wkrótce po zawarciu traktatu partya wojenna w Pekinie otrzymała przewagę i teraz chińczycy nie chcą opuścić Langsomu. Rzeczpospolita zdecydowaną jest prowadzić wojnę, która wszakże pod względem militarnym nastręcza wiele trudności, ponieważ dla sformowania korpusu ekspedycyjnego trzeba będzie naruszyć organizacyę wojskową. Admirał Courbet udał się z flotą na wody chińskie, ale wyprawa ta nie może być niczem więcej, jak tylko demonstracyą, gdyż na okrętach nie ma załogi, która w razie potrzeby mogłaby być wysadzoną na ląd, a do bombardowania portów francuzi nie chcą posunąć się. Najwięcej szans ma projekt zajęcia wyspy Formozy, dopóki chińczycy nie wypłacą tytułem kosztów wojennych żądanej sumy 50 milionów franków.

W Belgii klerykalne ministeryum zabrało się energicznie do reformy, w duchu zachowawczym wszystkich gałęzi zarządu. Gubernatorowie prowincyj i inni urzędnicy poszlakowani o liberalizm, otrzymają dymisye, a księża opanowują tymczasem szkoły. Rozumie się, że papież chcąc, jak powiada, dać dowód przychylności królowi i narodowi belgijskiemu, przywrócił zerwane stosunki dyplomatyczne i wkrótce przyśle do Brukselli nuncyusza. Liberalni wszelako nie tracą nadziei i spodziewają się, że i przy nowych wyborach otrzymają większość w senacie. Wtedy król rozwiąże obie izby, a powtórny rezultat głosowania może wypaść nie na korzyść ultramontanów, których krótko trwała gospodarka dała się krajowi we znaki.

Z Egiptu nadeszła wiadomość, o zdobyciu Chartumu przez wojska Mahdiego; wprawdzie później nastąpiło zaprzeczenie, ale to to jeszcze nie wiele znaczy. Kto wie, czy nie powtórzy się tu historya z Berberem, o którego wzięciu jeszcze w maju przyszły wieści. Rząd angielski najprzód im zaprzeczył i dopiero upatrzywszy stosowną chwilę, wyznał, iż rzeczywiście Berber został przez powstańców zdobyty.

A tymczasem konferencya milczy, to jest biorący w niej udział dyplomaci gadają zapewne nie mało, ale o przebiegu obrad dzienniki nic nie wiedzą. Zabawka ta, polegająca na omawianiu dawno już zdecydowanych postanowień, potrwa podobno miesiąc cały.

Ożywiająca nieco posuchę dziennikarską cholera nie ustaje, chociaż nie przybiera szerszych rozmiarów. Nawet francuzi ochłonęli już z przestrachu i święto narodowe, o którego odroczeniu mówiono, wbrew przestrogom, udzielonym przez radę lekarską, odbędzie się 14 lipca. Ale i taka jak jest cholera nie przestaje być groźną klęską, a kto wie, czy łagodny względnie jej przebieg nie zmieni się jeszcze. Doszła już do Szwajcaryi!

Berliński korespondent *Moskowskich Wiedomosti* donosi, jako o fakcie spełnionym, o konwencyi niemiecko-rosyjskiej, mającej na celu wspólne działanie przeciw anarchistom. Zainteresowane państwa spodziewają się, że i inne rządy do niej przystąpią.

Jakby w odpowiedzi na to wezwanie rząd francuski ogłosił amnestyę dla wszystkich uwięzionych w ostatnich czasach anarchistów, wyłączając z niej tylko Krapotkina i Ludwikę Michel. Ci poczekają zapewne do przyszłego święta narodowego.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Komitet centralny, ustanowiony dla rozdawania wsparć dotkniętym powodzią, postanowił część tylko funduszów użyć na doraźną pomoc, resztę zaś przeznaczyć na zakup zboża do zasiewów i śpieszne budowanie nowych tam oraz naprawę istniejących. Do robót tych użytą będzie za opłatą miejscowa ludność, obowiązana według prawa do bezpłatnego ich spełniania, zasiłek więc udzielony zostanie w formie wynagrodzenia za pracę.

Straty powodzian. *Warszawskij Dniewnik* na podstawie urzędowych danych podaje wykaz strat, poniesionych przez włościan w sześciu gubernlach dotkniętych powodzią. W gubernii warszawskiej wylew obejmuje 58,342 morgi a straty wynoszą 1,186,000 rs., w radomskiej 29.000 morgów i 500,000 rs., lubelskiej 4000 i 300,000 rs., kieleckiej 31,750 i 771,000 rs., płockiej 7054 i 232,370 rs., i wreszcie siedleckiej 10,000 morg. i 400,000 rs. strat. W pięciu gubernlach (z wyjątkiem płockiej) poszkodowanych jest 24,516 osób. Obywatele ziemscy ponieśli również wielkie szkody, w samej gubernii radomskiej szacują je na 200,000 rs.

Opłata szkolna. Z rozporządzenia ministeryum w wielu gimnazyach w Królestwie opłata szkolna w r. przyszłym będzie znacznie podwyższona.

Zniesienie. Według gazet rosyjskich, postanowionem zostało w wyższych kołach zniesienie urzędów generał-gubernatorskich a natomiast rozszerzenie władzy gubernatorów. Reforma ta zapewnić ma znaczne oszczędności.

Sprawa o potwarz. Znany p. Muraszko zaskarżył o potwarz redaktora *Dziennika poznańskiego*. Sąd ławników w Poznaniu zażalenie to jako niewłaściwe odrzucił.

Samobójstwo. W kościele św. Krzyża niejaki Kazimierz Tański (lat 24) z Łomżyńskiego wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie. „Profanacya świątyni," która po drobnej ceremonii zostanie znowu otwartą, głęboko zmartwiła niektóre z pism naszych. Naturalnie o współczuciu dla nieszczęśliwego, którego nikt nie odświęci, mało kto pomyślał. Samobójca zostawił zapis dla autora najlepszej książki o moralnem wychowaniu młodzieży. Do rozpaczliwego kroku popchnął go głównie rozstrój nerwowy, będący skutkiem nieopatrznych nadużyć.

Mianowanie. Dr. Bron. Lachowicz mianowany został docentem organicznej chemii w uniwersytecie lwowskim.

Pracę dra Spasowicza o Byronie drukuje warszawskie *Ateneum* i krakowska *Reforma*.

Bank włościański. Po zlikwidowaniu interesów t. z. banku włościańskiego we Lwowie okazało się, że po zestawieniu pasywów deficyt wynosi 86 milionów złr. Aktywa zaś w sumie 7 milionów nie wystarczają nawet na wykup listów zastawnych, będących w obrocie.

Klub złodziejski odkryła policya na ulicy Wołyńskiej, przytrzymano w nim odrazu przeszło 20 „członków."

Polonizacya. W przystępie ataku taniego patryotyzmu *Kur. warsz.* nie poprzestając na tem, że Karlsbad przerabia wciąż na „Karolowe wody," przekręcił Marienbad na „Maryańskie wody" (?).

Bibliografia polska. Zofia Łempicka *Obrazki z życia i fantazyi.* Warszawa.

Statystyka. Powiatowe miasto Łuck posiada dziś 13,000 ludności—chrześcianie stanowią zaledwie 15%.

Rozruchy agrarne. Korespondent *Gazety polskiej* donosi, że w powiatach pryłuckim i piriatyńskim gub. połtawskiej i borzeńskim gub. czernichowskiej zdarzyły się rozruchy. Włościanie domagali się pasania bydła na gruntach dworskich. Miejscowi gubernatorzy osobiście przywracają porządek. Zaburzenia z podobnym charakterem wybuchły również w powiecie bałckim gub. podolskiej; do uśmierzenia ich użyto wojska, a poprzednio jeszcze gazety doniosły o dwu analogicznych wypadkach na Litwie.

Antisemickie zaburzenia wybuchły aż w Algierze.

Pedagogia galicyjska. Dyrektorka szkoły żeńskiej w Tarnopolu p. Seelingerowa, autorka dziełek, traktujących o pedagogii i hygienie szkolnej, jedną z uczenic, podejrzaną o zrywanie kwiatów, zmuszała do przyznania się, kłując ją przez kilka dni szpilkami po całem ciele, a gdy to nie pomogło, rozpalała szpilki przy świecy i rozgrzanemi do czerwoności kłuła biedne dziecko. Wskutek skargi ojca zbrodniarka oddana została pod sąd.

Dobra informacya. *Herold* petersburski donosi w numerze z 1 lipca, że w pierwszych dniach sierpnia odbędzie się zjazd przyrodników i lekarzy polskich w Poznaniu.

Zmarli: Edward Totleben, generał-gubernator wileński.

— Tissot, znany archeolog, b. poseł francuski w Konstantynopolu i Londynie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

X. X. Czy biografia Bartelsa jest w szczegółach dokładną, nie wiemy. To tylko prawda, że on miał menażeryę i marzył o założeniu ogrodu zoologicznego w Warszawie. Za resztę artykułu *St. Pet. Ztg.* nie ręczymy.

P. A. B. w Aleksandrowie. Dla ogółu sprawa to zbyt drobna i zbyt osobista.

X. Y. Heidelberg, Grabengasse 18.

P. D. Rymk. w Wilnie. T. II wyczerpany; tom I rs. 1 k. 50; początek t. IV pierwsze trzy zeszyty rs. 1. Każdy tom stanowi całość.

W. W. w Lebedynie. Jest. Cena rs. 10, przesyłka kop. 65.

OFIARY.

Dla powodzian. Wysocki Włodzimierz z Kijowa na Królestwo rs. 15, na Galicyę rs. 10; Ihnatowicz z Petersburga rs. 3, Mania i Genia Affanasowicz, Fajga i Hana Zaltzmann, Marylka Gruszczyńska z Łukowa rs. 1 kop. 50.

Dla biednych. Saliński z Jakubowic kop. 50.

Wielka katastrofa powodzi, odbierająca nagle mienie tysiącom ludzi, skazanym przez nią na nędzę, wywołuje wielką pomoc pośrednio tylko nią dotkniętych, przez obawę zwykle towarzyszących nędzy chorób epidemicznych. Są jednak tragiczne, ukryte w cieniu pojedyncze męki wieloletniego pasowania się z trudnościami dobrowolnej ofiary, przyjętej na wątłe ramiona kobiety, nieliczącej się z siłami swemi.

Matka czworga dzieci z mozolnej umysłowej pracy mało u nas procentującej i nużącej pracy rąk, pomimo ubóstwa biorąca jeszcze dwoje nieletnich sierot po bracie swoim Szymonie P., urzędniku magistratu m. Warszawy, który zmarł przed kilku laty, nie pozostawiwszy żadnego majątku a nie dosłużył emerytury, wszedłszy po raz drugi w urzędowanie nowe, dająca im naukę wraz z swojemi dziećmi tyle kosztującą w szkołach publicznych, utrzymująca i żywiąca razem 10 osób bez żadnych zasobów, pracą z dnia na dzień, przygnieciona naraz chorobą dwojga dzieci swoich, wywiązaną z gorliwości przy egzaminach do wyższych klas udanych, niemogąca ich ratować podtrzymaniem upadłych sił — ma prawo do pomocy bliźnich, niezamykających serc swoich jednem, choćby największem uczuciem dla dotkniętych powodzią.

Dla tej mężnej niewiasty wołam o pomoc w najgroźniejszej dla niej chwili.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Іюня 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.